



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: ::

Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, WIEDEN, (Hauptstr. 147).

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 25 marek, **kwartalna** — 14 marek.

Zeszyt pojedynczy 3 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

Prenumerata na Austro-Węgry roczna 64 korony — **półroczna** 32 korony — **kwartalna** 17 koron.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: **Rękopisy** zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — —

Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

„Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia
1873

w Poznaniu

Rok założenia
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na
posag z rewizją lekarską i bez rewizji

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie
— od spłaty składek i płatność renty —

Nizkie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się
i w czasie wojny

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu
w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31
Agencje specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesy bankierskie.

Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.

Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja
kapitałów.

Rachunki czekowe z wielkimi dogodnościami dla wpłat
i wypłat.

Udziały członków przynosiły 8 procent dywidendy.

Wkładki i oszczędności oprocentowane od dnia złożenia
pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).

ZDRÓJ

ROK 2

MAJ 1918

TOM III

ZESZYT 4

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE
I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Potęga słowa — Edgar Allan Poe (spolszczył Stanisław Wyrzykowski — przyozdobił Jan Wronecki). Z „Samuela Zborowskiego” — Juliusz Słowacki. Poeta a świat — Johannes V. Jensen (spolszczył X.). Sny na jawie (D. K.) — Stanisław Przybyszewski (przyozdobił Władysław Jarocki). U poetów — Miriam. Opowieść rybaka (powieść — C. D.) — Wacław Berent (przyozdobił Jerzy Hulewicz). Na marginesie Don Kiszota — Michał Sobecki (przyozdobił Jerzy Hulewicz. Trzy księgi — Ignacy Nikorowicz. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyty: Jerzy Hulewicz, Stanisław Kubicki, Jan Wronecki.



Amazonka (oryg. drzeworyt) — Jerzy Hulewicz

POTĘGA SŁOWA

EDGAR ALLAN POE

Oinos: Wybacz, Agathosie, słabości ducha, co od niedawna przyoblókł się w nieśmiertelność.

Agathos: Nie powiedziałeś nic takiego, mój Oinosie, za co trzeba prosić o przebaczenie. Wiedza, nawet tutaj, nie jest rzeczą intuicyi. O mądrość proś ufnie aniołów, a będzie ci dana.

Oinos: Marzyło mi się atoli w doczesnem mem istnieniu, że przyjdzie chwila, kiedy posiadę odrazu wiedzę i przez poznanie wszystkiego zdobędę odrazu szczęśliwość.

Agathos: Ach, nie na wiedzy polega szczęście, lecz na zdobywaniu wiedzy! Poznawać raz na zawsze, jest to być błogosławionym raz na zawsze, lecz poznać wszystko, znaczyłoby skazać siebie na mękę szatana.

Oinos: Lecz czy Najwyższy nie wie wszystkiego?

Agathos: Ponieważ jest Najszczęśliwszy, jest to snadź j e d y n ą rzeczą; nieznaną nawet JEMU.

Oinos: Ale czyż w końcu nie poznamy wszystkiego, pomnażając nieustannie naszą wiedzę?

Agathos: Spójrz hen, w oddale otchłani! — Postaraj się ogarnąć okiem przemnogą widnokręgów gwiazdnych, lecąc wraz ze mną wśród nich zwolna — i tu — i tam — i wszędzie! Czyż nawet wzrok ducha nie zatrzymuje się dokoła na nieprzerwanym złotym murze wszechświata? — murze, utworzonym z myriadów świetlnych ciał, które samem swem mnóstwem zdają się zlewać w jedność?

Oinos: Pojmuję jasno, że nieskończoność materii nie jest złudą.

Agathos: Niema złud w Edenie — za to słysząc tu szemranie, iż j e d y n e m zadaniem tej nieskończoności materii jest wytwarzanie nieprzebranych źródeł, u których dusza może zaspakajać swe wiekuiście nieugaszone pragnienie poznania. Stłumić to pragnienie znaczyłoby to samo, co zgasić duszę. Pytaj mnie tedy, mój Oinosie, swobodnie, nie obawiając się niczego. Pójdź! pozostawimy na lewo donośną gędbę Plejad i ulecimy hen, ze Stolicy, na gwiazdne łąki obok Oriona, gdzie zamiast bratków, fijołków ogrodowych i fijołków polnych rozpościerają się grędy potrójnych i trójbarwnych słońc.

Oinos: A teraz, skoro już wyruszyliśmy, pouczaj mnie, Agathosie! — Mów do mnie zwykłym, ziemskim językiem! Nie rozumiałem, dlaczego napomknąłeś przed chwilą o sposobach, czy metodach tego, co w życiu doczesnem nazywaliśmy stwórczością. Czy chciałeś powiedzieć, że Stwórca nie jest Bogiem?

Agathos: Chciałem powiedzieć, że bóstwo nie stwarza.

Oinos: Wytlomacz mi to!

Agathos: Bóg stwarzał tylko na początku. Rzekome stworzenia, których byty kielkują teraz nieustannie w całym wszechświecie, nie mogą uchodzić za pierwszorzędne, czyli bezpośrednie dzieła twórczej potęgi bożej.

Oinos: Śród ludzi, mój Agathosie myśl ta wydałaby się skrajną herezyą.

Agathos: Śród Aniołów, mój Oinosie, jest ona zwykłą prawdą.

Oinos: Rozumiem cię o tyle, że niektóre przejawy tego, co nazywamy Przyrodą lub jej prawami, mogą w pewnych razach dawać początek temu, co posiada wszystkie pozory stwórczości. Pamiętam, iż na krótko przed ostateczną zagładą ziemi dokonano mnóstwa nader pomyślnych doświadczeń, które od niedowarzonych umysłów filozoficznych otrzymały miano stworzenia drobnoustrojów.

Agathos: Wypadki, o których wspominasz, są istotnie przykładami stwórczości drugorzędnej i nie mają nic wspólnego z j e d y n y m rodzajem stwórczości, której nie było na świecie, odkąd pierwsze słowo powołało do życia pierwsze prawo.

Oinos: Czyż te światy gwiazdne, co wytryskają co chwila z otchłani nicości w przestwory niebieskie — czyż te gwiazdy, Agathosie, nie są bezpośrednim tworem rąk bożych?

Agathos: Dołożę starań, mój Oinosie, by poprowadzić ciebie krok za krokiem do poglądu, który mam na celu. Wiesz dobrze, iż jak żadna myśl nie może przepaść bez śladu, tak samo żadna czynność nie może pozostać bez nieskończonych następstw. Gdy byliśmy mieszkańcami ziemi, poruszaliśmy naprzykład rękami i tą czynnością wprawialiśmy w drganie atmosferę, która ją otaczała. To drganie rozchodziło się dopóty, aż udzieliło się wszystkim drobinom ziemskiego powietrza, które odtąd zostały r a z n a z a w s z e wprawione w ruch jednym ręki skinieniem. Dobrze znali to zjawisko matematycy naszego globu. Jakoż pewne przejawy, wywołane w płynach za pomocą odpowiednich bodźców, stały się dla nich przedmiotem ścisłych obliczeń — i było rzeczą łatwą określić dokładnie czas, w jakim bodziec jakiś o wiadomej sile zdąży okrążyć kulę ziemską i oddziaływać (raz na zawsze) na wszystkie atomy otaczającej ją atmosfery. I na odwrót, znając jakiś przejaw i warunki, w jakich on powstał, mogli oni bez trudu oznaczyć siłę bodźca pierwotnego. Otóż matematycy, którzy poznali, że następstwa każdego danego bodźca są bezwzględnie nieskończone — którzy poznali dalej, że pewna część tych następstw da się ściśle oznaczyć za pomocą czynnika analizy algebricznej — którzy poznali wreszcie, jak łatwo jest dokonać obliczeń odwrotnych: matematycy ci przekonali się również, że ten rodzaj analizy zawiera w sobie sam przez się możliwość nieograniczonego rozwoju, jako też że niema rubieży, które w sposób dostępny dla ludzkiego poznania mogłyby ograniczać postęp i zastosowanie tejże analizy prócz hamulców w intelekcie człowieka, co ją rozwija, lub stosuje. Lecz na tym punkcie matematycy nasi stanęli.

Oinos: A dlaczegoż, Agathosie, powinni byli iść dalej?

Agathos: Gdyż po za tem były jeszcze inne zagadnienia nader ważne. Z tego, co widzieli, było można wywnioskować, że istota o nieograniczonej zdolności poznawania, która zdołała roztajemnić doskonałość algebraicznej analizy, — mogłaby bez trudności śledzić każdy bodziec, dany powietrzu — a za pośrednictwem powietrza także eterowi — aż do najodleglejszych następstw, a nawet aż do nieskończenia dawnych czasokresów. Dałoby się bowiem wykazać, że każdy taki bodziec, dany powietrzu, musi w końcu oddziaływać na każdą jaźń, znajdującą się w wszechświecie, zaś istota o nieograniczonej zdolności poznawania, którą wyobraziliśmy sobie, mogłaby śledzić dalekie drgania bodźca — śledzić je aż po nieskończone bezkońce w ich oddziaływaniach na wszystkie drobiny wszelkiej materii — aż po wieczności nieskończone bezkońce w ich odmianach dawnych form, czyli mówiąc innemi słowy, w ich stwarzaniu się na nowo — i w końcu znalazłaby je odbite — i już do oddziaływania niezdolne — od tronu Wszechbóstwa. I nietylko to mogłaby uczynić taka istota, lecz w każdym czasokresie gdyby jej przedłużono jakieś określone następstwo — gdyby na przykład poddano jej badaniu jedną z niezliczonych komet, za pomocą analizy odwrotnej mogłaby ona bez trudności oznaczyć, jakiemu bodźcowi pierwotnemu zawdzięcza ona swe istnienie. Ta władza retrogradacyi w absolutnej swej pełni i doskonałości — ta zdolność odnoszenia po wszelkie czasy wszystkich skutków do wszystkich przyczyn jest bezsprzecznie właściwością, którą posiada tylko bóstwo, ale poniżej absolutnej doskonałości, we wszelkich odmianach i stopniowaniach władza ta jest także udziałem całej rzeszy intelektów anielskich.

Oinos: Ale ty mówisz tylko o oddziaływaniach na powietrze.

Agathos: Mówiąc o powietrzu, uwzględniałem tylko ziemię; lecz zasada ogólna odnosi się do oddziaływań na eter. Jest on potężnym czynnikiem stwórczości, ponieważ przenika wszechprzestwory i przenika je sam jeden.

Oinos: Zatem ruch wszelki, bez względu na to, jakiego jest rodzaju, stwarza?

Agathos: Musi stwarzać; atoli prawdziwa filozofia głosiła już oddawna, że źródłem wszelkiego ruchu jest myśl, zaś źródłem wszelkiej myśli jest —

Oinos: Bóg.

Agathos: Mówiłem do ciebie, Oinosie, jako do dziecięcia pięknej ziemi, co niedawno uległa zniszczeniu... mówiłem o bodźcach na atmosferę ziemską.

Oinos: Istotnie!

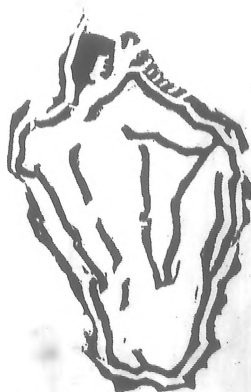
Agathos: Kiedy to mówiłem, czy nie błysnęła ci w głowie myśl o fizycznej potędze słowa? Czyż każde słowo nie oddziaływa na powietrze?

Oinos: Ale czemu ty płaczesz, Agathosie — i dlaczego, oh, dlaczego mdleją twe skrzydła w przelocie nad tą piękną gwiazdą — najzwyklejszą, lecz razem

najstraszliwszą ze wszystkich, jakie spotkaliśmy na naszej drodze? Jej skrzące kwiecie jest jak oudny sen — lecz jej rozpętane wulkany są gdyby namiętności burzliwego serca.

Agathos: Są też niemi istotnie — są niemi! To ja sam wywiodłem kilku namiętnemi słowy tę dziwną gwiazdę z nicości, gdym — przed trzema wiekami — rzucił się do stóp mej uwielbionej z załamanemi rękami i zakławionemi oczyma. Jej skrzące kwiaty są najdroższym z niespełnionych snów, a jej ziejące wulkany najburzliwszem i najbardziej sponiewieranem sercem.

Przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI.



Z „SAMUELA ZBOROWSKIEGO“

Nie prawo stoi pod naszym zarządem;
Pókiśmy mali, to jest naszym panem,
Lecz gdyśmy silni, to nam pod kolaniem
Jak wywrócony anioł ognia leży.

JULIUSZ SŁOWACKI.

POETA A ŚWIAT

(Dla „Zdroju” — W odpowiedzi na list otwarty do Wiktora Gomułckiego.)

W sprawie stosunku poety do społeczeństwa niech mi wolno będzie wypowiedzieć się za pomocą mytu

O GOŁĘBIU WĘDROWNYM.

Na najdalszym stąd zachodzie, w głębi amerykańskiej puszczy rozległo się raz zapamiętałe gruchanie i para gołębi, wyfurknawszy z pośród gałęzi, jęła krążyć nad polaną. Ludzkiemu oku wydałyby się oba podobne do siebie, jak gołąb do gołębia, różniły się jednak znacznie w samej rzeczy.

Jeden był to gołąb wędrowny (*Ectopistes migratorius* L.). Uderzała w nim przedewszystkiem zdecydowana melancholja. Pochodziło to, oczywiście, naprzód stąd, że był wędrownym gołębiem i nie miał stałego gniazda. Przytem wszakże cierpiał na indywidualność, i ptasią pierś jego nękała nieuleczalna rozedma osobowości. Gdyby go było zagadnąć, czy nie jest wypadkiem Duchem świętym we własnej osobie, milczałby tylko skromnie i nie sięgnąłby do pazurów i dzioba, gdyby mu rzecz taką insynuować z większą dozą natarczywości.

Drugi był to już całkiem zwykły, ziemski gołąb, myślący bez przerwy o grochu i potomstwie.

Ktoby zrozumiał ptasi język, usłyszałby następnie, co pierwszy z wymienionych, ze znacznym nakładem brzuchomówczej sztuki i zawilego dreptania na miejscu za własnym ogonem, jał wykrztusić w formie gorzkiej skargi na okrucieństwo społeczeństwa względem jednostki. Jak gdyby wszystko, co nosi miano postępu, nie bywało zawczasu poczęte w łonie indywidualnej, nagiej duszy! A jednak stada czworonogów nie przestają nas stale prześladować.

— Społeczeństwo zawsze ma słuszość, odgruchnął mu jego towarzysz i, nadziawszy dziobem dużą, trójkątną szyszkę, odleciał z nią o kilka kroków. Grdyka mu już sterczała od ziarna, jak kula, ale musiał jeszcze pchać w szyję, skoro wlażyło. Spozierał tedy ku drugiemu nieufnie i ciągnął wśród czkawki. Społeczeństwo zawsze ma — hok-rrrację. A kiedy jej niema, to wielkość głosów — hok — rozstrzyga, kto ją ma naprawdę — hok-hok.

Po której to rozmowie porwały się ku sobie ze skrzydeł trzepotem i wymieniwszy coś w dokładnym kształcie całej salwy policzków, rozleciały się w przeciwne strony.

Ostatni z mówców, który wypchał sobie szyszkami nietylko grdykę i gardziel, ale i całą wreszcie głowę, tak że nie mógł zawrzeć dzioba, nie próbował już wzbic się ku górze, jako zbyt ciężki po temu; więc leciał, kłapiąc skrzydły, tuż przy ziemi, wskutek czego zaplątał się w sidła, które przemysłny farmer rozstawił w tamtej okolicy, a poszedłszy do worka, stał się strawą dla świń i był chwalon, jak przysmak rzadki, bo nadziany w dodatku jarzyną. Towarzysz jego zniknął w chmurach, o ile nie skreślił przed tem karku wśród gałęzi.

Tutaj pora zaczerpnąć o wędrownym gołębiu nieco danych z ornitologii. Liczebność tego gatunku jest tak wielka, że widziano je w porze przelotów ciągnące wielkimi chmarami, których szerokość wynosiła po parę kilometrów, a o długości których może dać pojęcie to, że kilka godzin musiało upłynąć, nim jedno takie stado zdążyło przeciągnąć nad jakimś miejscem. „Próbowano obrachować liczbę gołębi w jednym takim ptasim legjonie i sądzono, że musi dochodzić od 1 do 2 miliardów. Lasy, zamieszkane przez kolonistów, uległy częściowemu zniszczeniu; silne konary, nie mówiąc o krzewach i zaroślach, łamały się pod ciężarem ekskrementów, które jak śnieg w najcięższą zimę, pokrywały dokoła cały widnokrąg. Chwymano je setkami tysięcy i, gdy połów przechodził wszelkie granice, stosowano jako nawóz. Rozdział z historii obiegu azotu na naszym planecie“.

Dane te są wzięte z encyklopedji z roku 1896. Obecnie, w dwadzieścia zaledwie lat potem, gołąb wędrowny już nie istnieje!

O tak. Człowiek, który też jest nadprodukcją białka, potrafi ciąć do kości. Pingwiny poszły na tran do kotłów, stada bawołów w Ameryce, liczące sztuk miliony, powalone zostały, dla samej skóry i rogów, w ciągu paru sezonów; teraz gołąb wędrowny poszedł tymże śladem i nie zostawia innego po sobie, bo ani jeden żywy jego egzemplarz już nie istnieje.

Macież więc balotowanie więkzości.

Jedyny gatunku onego okaz, będący niegdyś symbolem Nadziei i podpadły snadź podejrzeniu o strawność wątpliwą, — z porami, przesyconemi alunem, i garścią trocin w żołądku — oglądać jeszcze można w jednym z amerykańskich muzeów osobliwości.

Kopenhaga

JOHANNES V. JENSEN

(Spolszczył X.)

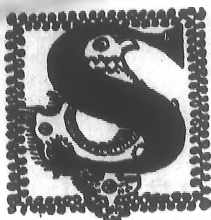


Oryg. drewnoryt — Stanisław Kubicki

SNY NA JAWIE

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

(DOK.)



ny na jawie — melancholijny tytuł, jaki moim wywodom nadaję, pewno jeszcze długo pozostaną snami, zaczem się chociaż w części urzeczywistnią.

Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim się ziści najbogatszy z tych snów, że kościół polski będzie nie tylko świątynią, ale równocześnie stanie się Pantheonem Narodowym, w którym nie tylko z duchami Świętych będzie nam dane obcować, ale i zrazem z duchami onych z pod Warny, Cecory, Chocima, Wiednia, Racławic — długo jeszcze będzie najśmielszy z tych snów czekał na ucieleśnienie, by modlitwa zlała się z myślą narodową w nierozzerwalny jeden hymn, i tak ducha podniosła i tak go rozpałiła, by zetknął się oko w oko z świętymi, a stanął na wysokości wielkich duchów swoich ojców — może sny te wogóle nieiszczalne, bo ten Kościół-Pantheon tylko Sztuka stworzyć może, a ona żarliwą modlitwę, ono pragnienie obcowania z duchami świętych kościoła i świętych Narodu w modlitwie, jeno Sztuka w jej najwięcej natchnionem napięciu w duszy człowieczej wywołać jest zdolna... dużo — dużo jeszcze razy cały świat się przeobrazi, zanim Wiara i Sztuka znów nierozzerwalny sojusz zawrą i znowu Jednią się staną, zanim Myśl o Bogu w Jego najwspanialszym tworze: Narodowości, najwyższy tryumf swój święcić będzie, nazewnątrż przez Sztukę polską ujawniony — ale są inne jeszcze sny, ubożuchne prawie w porównaniu z tamtymi, ale nie mniej piękne i łatwiejsze do urzeczywistnienia i o nich to mówić pragnę.

Zanim przyjdzie on wielki czas, w którym Wiara-Sztuka wzniesie Bogu, a raczej dostojnemu jego objawieniu w Narodzie, ona Świątynię-Pantheon, niechby się myśla, że ten ujawnił i ucieleśnił w czynie stworzenia jej miniaturki niejako, jej najpierwotniejszego prawzoru w prostym wiejskim kościółku dla ludu polskiego!

A chociażbym tego skromnego snu nawet w najskromniejszych rozmiarach na jawie urzeczywistnionego ujrzeć nie miał, jużby i radość była niepomierna, gdyby choć jedno ziarnko na tysiąc zakiełkowało i wzeszło.

A takie są moje wywody:

Tyle się gada i pisze o podniesieniu i uszlachetnieniu duszy chłopca za pomocą Sztuki — tyle się sarkają i kpin słyszało na „Częstochowskie“ malarstwo — na to przerażające, karykaturalne barbarzyństwo, jakim biedny chłop swoje chałupy obwiesza — na tę piekielną nędzotę z Wiednia, Lourdes, Berlina lub Ratysbony, do której chłop polski swe modły odprawia — dajcież mu to, co istotnie do duszy jego przemówi, chociażby drobinę tego, co z „widzącej wiary“ artyści polskiego po rozmaitych „atelier's" gnije, bo niema pokupu.

Dajcie mu więc Chrystusa, nie tego wylizanego Chrystusa-Apolina, cukierkowego Chrystusa-Adonisa, wysoce gentlemańskiego Lord-Christa na obrazach, które tysiącami i setkami tysięcy sprowadzamy do naszych kościołów z Niemiec, Francji, z Anglii, ale tego naszego, nawskroś polskiego, wyznawanego przez Mic-

kiewiczza, Słowackiego, całą współczesną młodą Polskę — jego męczeństwo, zawarte w precyzyjnych polskich „Gorzkich żalach” w całym ich bezbrzeżnie naiwnym i bezbrzeżnie żarliwym rozpamiętywaniu, skon Boga, wyrażony w przedziwnej pieśni: „Zawitaj mi głowo święta w cierniowej koronie”... dajcież mu Chrystusa, żywcem odtworzonego z polskich kantyczek i nieporównanych kolęd — pozbierajcie przedziwne piękne baśnie, klechdy i legendy o Najświętszej Pannie i Świętych Pańskich, a osiągniecie podwójny cel:

Uprzystępnicie Boga duszy chłopskiej, unaocznicie mu wszechobecnego Boga, i to nie tego, który w Włoszech, Francji, lub nad Renem żyje, ale tego, który i nad Wartą, Wisłą lub Gopłem w jego polskiej chałupie, na jego roli i miedzach jest obecny — a pozatem utrwali się przez to w duszy chłopskiej ta coraz więcej zanikająca pierwotna kultura polska, sięgająca jeszcze Jagiellońskich czasów, a która do dziś dnia jeszcze między ludem przetrwała.

Nauczcie się chłopca modlić do św. Wojciechów, Stanisławów, św. Ignacego Boboli i św. Kazimierza i Jacka Odrowąża, niech się korzy przed królową Jadwigą, choć jeszcze nie kanonizowaną, i św. Kingą i Jolantą i Bronisławą a wraz z modlitwą niech się w jego duszy kojarzy tradycja wielkiej przeszłości Polski — niech się na obrazach świętych uczy historii polskiej.

Najszczytniejszym obowiązkiem kościoła polskiego jest właśnie, wyrzucić z naszych świętych przybytków zagraniczną tandetę, wiary duszy ludu polskiego nie zamącać obrazami nawskroś pogańskiego Renesansu, a na oścież otworzyć swoje podwoje dla tych artystów polskich, w których wiara nie jest skostniałym dogmatem, skoltuniałym kanonem, ale żyjącym źródłem natchnienia.

Podwójnym obowiązkiem nie tylko wobec artystów polskich, którzy w warunkach, niesprzyjających rozwojowi i uzmysławianiu swej żyjącej wiary, z natury rzeczy cały swój twór w inną stronę kierować muszą, ale i obowiązkiem wobec tych maluczkich, dla których jedyną szkołą estetycznego a więc najwięcej uszlachetniającego wychowania jest li tylko — kościół.

Och! mieć choćby jeden milion!

Módz wystawić chłopu polskiemu jego przybytek Pański: kościół-chałupę, potęgą artysty wzniesioną do powagi istotnej świątynicy.

Wyrazem bowiem najwznioślejszych wzlotów duszy ludzkiej ku onym szczytom, na których człowiek pragnie się zetknąć oko w oko z Bogiem, to katedra gotycka; dumnym symbolem potęgi, chwały i pychy ludzkiej, to pałace renesansu, a kluczem do zrozumienia duszy chłopca to jego chałupa: jest mu kolebką i trumną, łóżem weselnym i przybytkiem, w którym wezbrana jego dusza ku Bogu żarliwie modły zanosi, on ją czci, jak żyjącą istotę, błogosławi jej, rozmawia z nią, przeklina, nawet opuszcza, a wciąż jednak do niej wraca.

Pokorna i cicha, wiatrem szarpana, na wszystkie burze wystawiona, a mimo to dziwnie wytrwała, zacięta i harda, przybytek nędzy i wściekłych zapasów z ziemią i całą naturą, ale zarazem święta koleba Janickich i Kasprowiczów, czujna strażnica najgłębszej miłości chłopca, miłości ku ziemi, najdostojniejszy podnózek, na którym oparła swe stopy miłość ojczyzny!

A w cudownym kościele w Jaszczurówce pod Zakopanem pokazał świętej a wielkiej pamięci Stanisław Witkiewicz, jak z motywów góralskich chałup wiel-

kiemu Gazdzie dostojną chałupę-kościół, zarazem święte grodziszczce stworzyć można.

Mieć milion — mózdz uprzytomnić ludowi polskiemu wszechmocność, wszechobecność Boga na obrazach w wnętrzu w jego własnem życiu, na jego własnej roli, w jego własnych czynach, w jego obcowaniu z Bogiem i z duchami świętych, a nie w tem wszytkiem, w czym Boga renesans włoski, flamandzki, czy też niemiecki widział.

Ale wtedy trzeba się będzie wyzbyć obmierzłego szablonu, tradycyjnych kanonów, których jednakoż kościół nie tworzył, tylko jałowa czczość i niemoc tych artystów, którym kościół w czasie swego artystycznego bankructwa swoje świątynie powierzał.

Kościół aż pod koniec XVI-go wieku nie stawiał najmniejszej tamy częstokroć nawet wywrotowym przeobrażeniom sztuki, godził się na najśmielsze, ale istotnie twórcze koncepcje artystyczne: w kościele dokonywała się ewolucja sztuki, w kościele ścierały się jej najrozmaitsze kierunki, kościół z równą dumą szczyił się tworem fra Angelika, lub fra Bartholomeo, jak Sodomy lub Orcagna — Tycjana równą miłością do siebie przygarniał jak Botticellego lub Mantegna, równie rozkochał się w Donatello, jak w gigantycznym twórcze Michała Anioła — a ile nazwisk, tyle odrębnych nawet, na wręcz przeciwnych biegunach stojących indywidualności, którym jedno jest tylko wspólne: wielka, samodzielna moc twórcza i potęga „widzenia“.

Walka przeciw wszelkim samodzielnym, „rewolucyjnym“ dążeniom artysty, nienawiść ku twórcy i istotnie natchnionemu z twórczego źródła tryskającemu dziełu sztuki rozpoczyna się dopiero z chwilą, gdy kościół katolicki, nie wiedząc nawet o tem, jał się protestantyzować, to znaczy wziął rozbrat z Sztuką.

Jak długo Wiara i Sztuka była Jednią, istniała dla kościoła jedna tylko miara wartościowania dzieł sztuki; potęga widzenia — a może ostatnim iście wielkim obrazem tej sztuki-wiary, sztuki-widzenia, to najrozleglejsze widzenie całego chrześcijaństwa wogóle: Apokalipsa, widziana przez Michała-Anioła.

Kościół nie znał zatem ani szablonu, ani kanonów, poznał je wtedy, gdy otworzył swoje podwoje dla bezmyślnych miernot, dla partaczy i niedołącznych rzemieślników, którzy brak natchnienia i wszelaki Niedostatek twórczy starali się uniewinnić niby to „uświęconą“ tradycją.

Kościół w najwyższym rozkwicie swej potęgi pozostawiał twórcy bezwzględna swobodę i wolność. Więc nie kanon, ale absolutny indywidualizm twórczy jest tradycją kościoła uświęcony.

I czas, by ta iście arystokratyczna tradycja na nowo w kościele, o ile zechce się napowrót z Sztuką łączyć, odżyła.

Jeżeli Andrea del Sarto miał odwagę uświęcić niepokalane dziewictwo w prostej włoskiej dziewczynie z jakiejś tam tawerny i wcielić w nią świętość matki Boga, przed którą gną się setki tysięcy kolan ludu polskiego w żarliwym nabożeństwie, — dla czego by się nie miało to dziać przed świętym symbolem dziewictwa, wyrażonego przez polską dziewczę czy z nad Wisły, z nad Warty lub Gopła? A czyż nie byłby bliższy dla duszy chłopu polskiego Chrystus, porodzony w stajni lub w oborze wielkopolskiej, aniżeli w nadreńskiej szopie Dürera —

a czyżby cośkolwiek wznioślejsze mogło podzielać na modlitewne rozżarzenie serca chłopca polskiego jak odtworzenie precyzyjnego „Widzenia” Lenartowicza w szeregu obrazów — całkiem inaczej odczułby wtedy i zrozumiał to wszystko, „co się tam dzieje na tamym świecie”, aniżeli z nędznych kopii fresków chociażby i nawet samego fra Angelika — a jak wspaniałą mogłaby być Adoracja świętego Dzieciątka nie przez włoskich obdartusów lub francuskich gaminów, ale przez naszych pastuchów — jak potężnym uczczeniem Przenajświętszego Sakramentu nie przez zawile scholastyczne alegorie i symboliczne teologiczne postacie niemieckich mistrzów, ale przez nasze w krzyż rozciągnięte chłopstwo polskie podczas Podniesienia wśród olbrzymiej pieśni „Święty Boże, Święty Mocny” podczas Oktawy Bożego Ciała!

Hej! hej!

Mieć choćby jeden milion, otworzyć na oścież wrota przybytku Pańskiego: polskiej chałupy-świątnicy dla tych wszystkich, którzy żarliwej swej wiary w dziełach sztuki uzmysłwić nie mogą, bo artysta polski, który by się poświęcił wyłącznie religijnemu malarstwu, musiałby chyba z głodu umrzeć. Polski kościół nie potrzebuje Wyspiańskich ani Mehofferów, ani Malczewskich, ani tych wszystkich, którzy według słów hr. Lanckorońskiego posiadają dużo zdolności artystycznych, „ale te mogą najczęściej być szkodliwe”, kościół polski woli lokować grosz ludu polskiego w hurtownych fabrykach dewocjonalii w Monachium, Ratysbonie, Monasterze, Paryżu lub Lourdes. Kościół polski kocha się w tanich, bazarowych ozdóbkach, w órgiach gipsatur w tem wszystkim, co na metry lub funty u rozmaitych Wertheimów lub Tietzów tak zwanej „sztuki kościelnej” tanio — to przedewszystkiem! — nabyć można.

Tak! mieć milion, móżdż urzeczywistnić rozkoszne marzenie stworzenia świątnicy-chałupy nie o wysokopiennych, gotyckich oknach ale z prostokątnymi, szerokimi otworami: niechby na tych witrażach zobaczył chłop polski swoje „kantyczki” i swoje „Gorzkie Żale”, a na obrazach ołtarzy nie dziwował się zazwyczaj nędznym kopiom Madon Sykstyńskich, Rubensa czy też Holbeina, ale z miłością żarliwą spoglądał na twarz naszej Matki Boskiej Zielnej, czy też Gromnicznej i tej przedewszystkiem, która jest królową Korony Polskiej! Tak, tę przedewszystkiem, którą lud polski tak gorąco, tak rozpacznie błaga by zawitała, by płaszcz swój nad nim rozwiała, on płaszcz, o który kule szwedzkie się bezsilne odbijały i doremnie topór krzyżacki się wyszczerbia.

Wypędzić z kościoła gips, sztuk, tę sprośną tandetę, kłamiącą jak najbezczelniej sztuce, a zastąpić ją tworem snycerskim z naszego drzewa lipowego — a niema chyba więcej podatnego materiału dla drzewnej rzeźby, jak właśnie lipa — wyrzucić śmieszne w polskim kościele pseudo-klasyczne filary — czyż nie stokroć razy piękniejsze one modrzewiowe słupy, które wspierały posowy świetlic księżących dworzysk naszych Piastów, pomijając już to, że dają najrozleglejsze pole dla snycerskiego zdobnictwa?! — Zamiast banalnych kapitelei z jakichś tam greckich akantusów, czy też wolut ionijskich, czemuż nie głowice rzeźbione według motywów naszych ostów, liści łopuchy, łopianu, żywokostu, bylicy, a zamiast potwornych kolumn barokowych lub bezpłciowych „roccoco”, albo bastardycznych „empire”, w które dotychczas obrazy ołtarzowe włączano, — czemuż nie dwa pnie nadwiślańskich wierzb, splecione konarami u góry w boski baldachim, owity powo-

jami, czemuż nie strzeliste topole nadgoplańskie, albo te nasze brzozy, które tak dziwnie głęboko rozmodlają, rozanielają nasze wiejskie kościoły podczas Zielonych Świąt?!

Obraz Matki Boskiej Gromnicznej w rzeźbionym w drzewie lasku kasztanów, oczywiście polichromicznym, kwiecie kasztanów stylizowane w kształt piętrzących się czubków świec gromnicznych — obraz Matki Boskiej Zielnej w zagajniku wszystkich naszych wysokopiennych ziół: i trzciny, sitowia i tataraku, i całem tem różnorodnem bogactwie roślinności naszych wielkopolskich jezior — obraz ołtarzowy Chrystusa na krzyżu w obramieniu gałęzi drzewa krzyżowego, cierniowego, żywokostu, liści piołunu — czyż można sobie wyobrazić piękniejsze ołtarze dla naszych polskich kościołów?

A może Wam więcej imponują grotty z Lourdes, pseudoklasycyzm Renesansu — brzuchaty, potwornie, jakby w kontorsjach choroby Św. Wita poskręcany barok, lub fidrygałki Roccoco?!

W swoim wspaniałem dziełku „Certains“ woła Huysmans o żelazo i szkło dla architektury Zachodu — z tem większym naciskiem należy się domagać o drzewo dla naszej polskiej zewnętrznej i wewnętrznej architektury świątyni naszych.

Powrócić drzewu, czy w architekturze zewnętrznej, czy też w rzeźbie pierwotne jego dostojenstwo, a jakiego tak długo w Polsce jako szlachetny materiał Sztuki zażywało, to pierwsze zadanie kościoła polskiego.

A czem jest drzewo jako materiał dla snycerza, świadczą nieprzeliczone, przewspaniałe ołtarze gotyckie, świadczą niezrównane stale po katedrach gotyckich, świadczy cały twór Wita Stwosza lub Riemenschneidera, a ostatnio pokazał Nalborczyk w swoim pięknym ołtarzu w kościele zakopiańskim jakie cuda z drzewa wydobyć można.

Mieć milion!

Och te bogate sny biednego człowieka!

Wybrać sobie z gromady artystów takich, którzy mają oną żarliwą, „widzącą“ wiarę, wysłać ich za granicę, nie na to, by z Paryża popowracali z śmiesznym, niedołężnym snobizmem, ale na to, by doszczętnie przestudjowali to, co Bawaria, co Belgja, co Francja przed wściekłą obrazoburczą rewolucją protestancką, lub też zachłannej sekularyzacji z swoich kościołów uratować zdołała i w setkach prowincjonalnych muzeów ostatni przytułek dać mu raczyła — pozwolić im się wżyć w te bezcenne skarby snycerstwa drzewnego, wśnić się w jej cuda i wskrzesić je w nowych swojskich formach do nowego życia: niechby mi potem dla mego ołtarza rzeźbili ramy, zdobili filary i głowice, tworzyli ambony i chrzcielnice — niechby mi gotyk niemiecki w drzewie zamienili na styl lachicko-polski (sit venia verbo), niechby mi potem ściany kościoła nie szpecili bezduszną, szablonową, klasyczną czy też renesansową ornamentyką, opatrzoną i obrzydlą już do szpiku kości — ale istotnie ozdabiali żytnimi polami z całem ich bogactwem bławatów, maków, kąkolu — przydrożnymi drogami z kępami krwawników i ziela krzyżowego, ugorami z zagajnikami dziewanny, murem, obrosłym rozsłodnikiem, wzgórkami, pokrytymi ciemno-amarantowym kobiercem wrzosów...

Niechajby mi się przybytek Pański stał niejako syntezą tego wszystkiego, czem w życiu codziennem naokoło żyję — niech sobie w świątyni Pańskiej w skupieniu podczas mszy świętej uprzytomnię to wszystko, co rozbieżnie wokół mnie w tysiącach kształtów, tysiącu przeżyć, bezustannej zmianie i przeobrażeniach drga, wre i kipi — niech zdołam objąć jednym obrzutem oczu to wszystko, czego rozproszoną uwagą poza kościołem Boga ująć nie mogę...

* * *

Bogu, który się nam Polakom w najszczytniejszym swem dziele, według Mickiewicza, w naszej narodowości objawił, przynależy się świątynia, któraby duszę i posłannictwo tego narodu przez Sztukę nazewną objawiła.

I ztąd ta duszna potrzeba narodowego kościoła, kościoła polskiego dla ludu polskiego.

Kościół ten ma być uzmysłowieniem jego wierzeń, jego cierpień i tęsknot i nadziejnych przeczuć — ma być odzwierciedleniem duszy jego w wszystkich jej przejawach, ma mu to na zewnątrz ukazać, co się w najgłębszym jej ukryciu dzieje i na jej dnie chowa, tłumaczyć mu jego przynależność do onego zbioru ludzi, którzy są powołani przez Boga do spełnienia swego posłannictwa — osiągnięcia wymierzonego mu od wieków wspólnego, a świętego celu, który tworzy naród, a dla duszy chłopca stanie się taki kościół istotnem podniesieniem Ducha, przybytkiem największego naprężenia jego najszlachetniejszych strun...

Dajcie ludowi kościół, żywy obraz jego duszy, jego żarliwych rozmodleń i kajań, jego smutków i wniebowzięć, a on kościół będzie mu nie tylko drogą do Boga, nietylko zadzierzgnięciem nierozzerwalnych węzłów między nim a narodem, (a chłop wciąż jeszcze stoi poza nawiasem narodu) — będzie mu nietylko Domem Bożym, ale, w najrozciąglejszym znaczeniu, jego własnym Domem, a przez Sztukę, objawienie „widzącej” wiary, sam stanie się „widzącym”.

Chcecie lud podnieść, chcecie go uszlachetnić, chcecie w nim rozzarzyć miłość do narodu, chcecie mu dać poznanie Boga w jego „najszczytniejszym” tworze, chcecie w nim rozbudzić tęsknotę ku Idealowi, oderwać zbyt przyziemną myśl jego raz poraz ku podniebnym wyżynom, to dajcie mu Piękno — jego Piękno, widzeniem twórcy uszlachetnione i podniesione do wyżyn prawdziwej Sztuki, w jego chałupie-świątynicy.

Narodowym kościołem, stworzonym przez istotnych, natchnionych artystów, dźwigniętym na naszej polskiej ziemi zbożnym wysiłkiem wszystkich sfer społeczeństwa polskiego, rozpocznijcie wychowanie Narodu, rozpocznijcie je od samego dołu, rozpocznijcie je od najmniej uświadomionych warstw narodu, od chłopca przez Sztukę w kościele i kościół w Sztuce.

A ludziom dobrej woli niech Bóg Chrobrych, Batorych, Sobieskich, Bóg Kościuszki i wszystkich tych, w których duszach Myśl Narodowa w całym swym majestacie się objawiła!

U POETÓW

ALEKSY HR. TOŁSTOJ

KAJDANIARZE

*Zapada już słońce w step głuchy,
W oddali ziół złoci się las, —
Kajdaniarzy dzwonne łańcuchy
Pył drożny wzbijają raz w raz.*

*Z golonemi idą głowami,
A ciężko odtętnia ich krok,
Pod brwiami wzrok chmurnie się jami,
Dum w sercu posępnych drga tłok.*

*Idą z nimi długie ich cienie,
Dwie klacze prychają u maż,
Leniwo, jak przez odniechcenie,
Za nimi w ślad wlecze się straż.*

*— Cóż, bracia, snadź pieśńby, kto wola?
Dość wspomnień, goryczy też dość!
Ot, taka nam widać już dola,
Z nią trza się urodzić i wzrość!*

*I hej! — podchwycili, załkali,
Śpiewają, zawodzą i grzmią,
O Wołgi bezbrzeżnej rozdali,
O dniach zmarnowanych tak psło;*

*Śpiewają step wolny a głuchy,
Gdzie dzikiej swobody był czas —
Dzień mierzchnie już wkrąg, a łańcuchy
Pył drożny wzbijają raz w raz...*

* * *

*Oj, gdybyż, gdyby mać-Wołga wstecz popłynąć chciała!
Gdyby można, bracia, zacząć żyć od mała!
Oj, gdybyż tak zimą kwiaty kwitły dalej!
Gdybyśmy, kochając, nie odkochiwali!
Gdyby dna morskiego dostać i wymierzyć!
Gdyby można, bracia, krasnym dziewczkom wierzyć!
Oj, byż każda baba była młodą!
By nikt wódki wodą nie kręcił na nico!
By kielich dochodził do gęby otwartej!
I by krzywe sądy raz porwały czarty!
I gdybyż tak głodny codzień obiad jadł!
Gdyby człek nieprawdy nie znał i nie badał!*

MIRIAM

WACŁAW BERENT

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA

(C. D.)



onurą była ta droga, „w świat” między murem i okopem klasztoru. W długi zacień tego rozdołu ziało zewsząd wonią ziemnej próchnicy i piwniczną zatęchłąną cegiel. Stopy grzęzły w omiękłościach drogi: za kołbierzec ciszy porastały mchy niejedyny gościniec mnichów.

Czyjgós tu jednak przejazdu zdawna niezatarty ślad widniał w głębokich na drodze wyciskach; niegdyś nasączała się w nie chyba woda tego mokradła; dziś grzybnia liszajów wyłabiała niesamowite ślady kopyt tuż pod zamkiem mniszych samotności. Gdyby czarne i ściarnięte w tej chwili zagle nawy żalobnej, zwisają nad furką olbrzymie gałęzie; żaden w nich nie zaświegotał ptak pod igliwia ciche, jak pacierz, zaszumy. Nad omszałą czerwienią murów klasztornych czernił się tak ogrom cedru w rozprężnej owisłości konarów, — drzewo dumań Salomonowych w ciszy majestacie.

Nasłuchał się było goliard z ust przeora, naczytał w księgach tyle ducha, że mu owó i cedrowe drzewo samo u klasztoru furty wydawało się Salomonowych mądrości arką:

„Nauka dobra dałaskę, na drodze gardzących przepaść!..”

Szedł pod klasztoru murem jak ścieżką wygnania z przystani ducha i dobrej samotności na niestatek tułactwa, na gorycz poniechania. Już nie gęśle pod pachą, lecz jakby kłodę psa włóczęgi dźwigał u szyi, oglądając się co chwila na tę cichość zakonieniałego spokoju w rozłożystości cedru.

I, przekorą natury waganckiej, swarzył się mimo wszystko z tem wejrzeniem statku i osiadłości:

„W habicie zakonnika, pod konarami tej ciszy, błędnego rycerza i wędrownego poetę razem znalazłem ja przeciel. Bo czemuże są te słowa przeora powiadane w celi?.. Pomrukują wszak głucho dominikany o nowej znów nauce, zagnieżdżającej się wśród franciszkanów, co znaczniejszych: — o ich wyczekiwaniu nowej Ewangelii, wyższej nad objawionel”

I aż się przeraził w tej chwili takiem icht wyciekowaniem. I zapatrzył się po raz drugi na te dziwne, pieczęciami grzybiej plechy odcisnięte, ślady w tem pustkowiu. „Djabeł, — myśli, — krąży wokół tego klasztoru. Zwiertzył snadź grzech waganctwa i w skrzyni przeorowych ksiąg. Konno, postacią błędnego rycerza może, snuje się tu. I zostawia po sobie ślady diabelskie w grzybiej plesze: te jasno-szare wyciski podkowoy w mchów szmaragdzie na pustynnej drodze pod klasztoru murem... Tam, u furty, zatrzymuje się pewnie i czeka na przeora, by się przysiadł na jego konia. Bo nie jednoż to: od kielicha w cyborium szukać Graala czary, czy od Ewangelii na ołtarzu nowego zakonu?!”

Wiatr przebiegł nagle szelestem po haszczach przydrożnych i jał skrzypieć cedru konarem, ocierającym się o mur. „Głusz! — pustkowie! — omartwica!” — skowyczało to skrzypienie nad klasztoru furką. I wypłoszyło coś żywego z gałęzi. BezgłoŹny trzepot skrzydeł ciężkich, przelatujących nisko, chyłkiem, tuż u muru samego. Ziemi grudą przypadła gdzieś sowa na krzew. I z wklęślej twarzy swej błyska żółtem okiem.

„Gołębica kacerskiego ducha!” — otrząsał się w sobie.

I jał się rozglądać naokół, jakby z tej uroczej drogi samotnictwa wydostać się czempredziej w tchnienie świata i życia, — w słońce gdzieś wyskoczyć, polem szczerem przebiec, choćby jak ten pies włóczęga z kłodą u szyi, dlatego niczyj, że bezpański.

Rzucił się w bok, między te głogi i ciernie na okopy klasztornej granicy, strzeżonej od złego przez oną tu Postać w kamieniu.

Szamoce się i targa wśród krzewów ciernistych, depce chrusty pod stopą, póki zadyszany nie zatrzymał się na wale.

I nie obejrzał po za się.

Za klasztorem ostro rysował się w tej chwili gród, w baszt wieńcu, pod obłoków przegonem. W dali, nad tonią borów wypiętrzały się po skalach czerwone murowiska zamków pod błękitu banią i chmur białych przelotem, — dziwna powietrznosc wypełniała świat. Tuż pod sobą widział klasztoru rozłożyste dachy i cedru czarną nad nimi zastygłość. — Spoglądał na

te zamki, gród i klasztor, jak na przystanie, w których stargał po kolei łańcuchy wszystkich kotwic nadziei. Z gęślą w klasztorze jakby i ster swej łodzi zostawił. Chyba się teraz na wznak w łódź swą bezsterną rzuci i — pod obłoków przegonem nieustającym na błękitu bani — spłynie, gdzie wichry poniosą.

Jakby dla zagłuszenia tych myśli zaczął z nową zawziętością przedzierać się przez krzewy naprzeciw onej Postaci, która strzeże od złego granicy klasztornej.

Lecz tym razem czepne witki cierniowe, chwylały się już nie szat jego, lecz ramion, oplatając je wzwyz aż po dlonie: „Na Boga prawdziwego, stój! Nie chodź tam!.. Nie prawda to, żeś niczyj na świecie. Bożys ty, Boży, jak wszystkie dusze człecz! Nie prawdą to jest, żeś wszędy poniechany. Panią swą macie wszak waganty u Bożego wprost tronu! Onaż to wszak za te pieśni i muzykę, któremi ją obdarzacie, za wami to właśnie, — żarliwiej niżli za wszystkie inne dusze, zastawia się zawsze przed Bogiem. Spójrz na Nią: stoi tam w kamieniu pod klasztoru murem. Wyciągnij rękę do tej Orędowniczki nędz ostatnich, Skarbonki leż najbardziej gorzkich, poniechanych Matki boleściowej!.. Słyszał dzwonią w klasztorze.“

A choć się łzami w tej chwili zachłysnął, ponura już zawziętość ogłuszyła go rychło i na ten ostatni zew franciszkańskiego ducha.

Zaciskał zęby: „Raczej mieć pogan lub żydów serce nieplodne, a myśl ich pojemną i bystrą w pogodzie, niżli się zatruwać mnichów smutkiem: po Holocaustu wypijają jad Acedyi!“

Jakby pod wiatru nagłym zawiewem otworzyła się przed nim gąszcz cierniowa.

Prędką stopą zbiegał po uplacie tamtej już strony.

Patrzy: — świat dziwnie biały, kolumn potrzaskanych rumowisk pod ciemnymi osłonami bluszczu. Ledwie mignęły w popłochu zielonych jaszczurek bezliki po głazach — i oto zaczarowana jakby pustka w przejaśnawym słońcu. Między złomami kolumn jakoweś usypiska kamiennych szczytów, gdzieniegdzie na oko jak ciała obłych i miodnie pozłocistych od marmuru starości. Bracia to snadź ogrodnicy łopata i motyką, z zagonów swych dobyte, te białe gruzы pogaństwa, wyrzucali tu pewnie, — za klasztoru nie-dobrą granicę, — jak to z łó ruszone w ziemi. Jaszczury się na tem legły i rozsunęły bluszcz.

Wstrząsa się jednak ta cisza zakłętą: krzyk, zrazu gardłowy, rozbija się wnet w pohukiwania dzikie, a wraca echem zawodzeń. Dziwnie się to słyszy, — może ptak jaki z gór dalekich, opadł tu gdzieś, na złamaną kolumnę i cietrzewi się skrzydły, a głosem

budzi wszystkie echa słonecznej tu głuszy, wygrywa gardła krzykiem gamę gór echową: — grda, tokuje, tęskni...

I urwie nagle.

Tam przycichło, — gdzie jak maku kwiat zapalił się nagle czerwień jakowaś u ciemnej zasłony bluszczu nad kamieniem. Coś się tam zatrząpocę w podryw gwałtownym i dwoistemi jakgdyby skrzydłami cheruba wionie wprost na piersi goliarda.

I spadają mu całunki na policzki, na oczy, na usta, w tym śmiechu tryumfalnym zębów białych: że owo zakłęk śpiewanych mocą wyczarowała go przecie z za murów smutku i śmierci, — że nie został, nie został w klasztorzel..

Ledwie poznać ją może w żalosnych strzępach wczorajszego przepychu. Zalotne wczoraj wypukłości sukni stargały się oto przez jedną noc w kraśne i zbrukane szmaty cyganki. Te buty, których tak dumnym tupotem wypełniała wczoraj gospodę, zawiesiła sobie dziś u pasa; dziką stopą woli snadź przebiegać gościńce włóczęgi. Wstażkami wpodłuż splecione rękawy, teraz wzdłuż rozdarte, czerwienią się u gołych jej ramion, niczem druga para skrzydeł tego ptaka waganckich przelotów.

Krótkie bo zawsze bywały przystrojenia skoczki: ciało jej stworzone do rozprężnych wolności tańca i pieśnyczoty stargałoby na sobie i najdelikatniejszego bisioru oponkę, a cóż dopiero te nakrochmalone i sztywne pancerze strojów, któremi tak lubo utrapiają się wszystkie kukły niewieście po grodach i zamkach. — Ale dziś nazbyt prędko poszarpało się na niej to wszystko.

Widząc tę ponurą badawczość w spojrzeniu jego, opowiadać mu czempredziej poczyną o jakiejś sprzeczce z niewiastami w grodzie, gdy z heroldem przechodziła przez ulice. Kobiety, szukając z nią swaru z zazdrości o modną suknię, narzuciły się na nią, że zgorszenie swym strojem w miasto wnosi i że się z ludźmi wałęsa — swojemu nie wierna. (Ku temu opowiadana była rzecz cała, aby, w przypuszczalnym gniewie jego na te wtrącania się babskie, spalić odrazu rozrachunki między nimi dziś najprzykrejsze.)

On mało w to wszystko wierzy, a jednak słucha tak uważnie, że aż mu żyły obrzmiewają na skroniach.

„Nie ich rzecz!“

„Nie ich rzecz“, — powtarza za nim jak echo. „Moja sprawa. Gdy zechcę, sam obiję.“

„Obijesz“, — wtórzy echem, byle przytakiwać męskiemu słowu, gdy gniewne.

On chmurzy się coraz bardziej. Zaś ten wstyd ogromny, że o zdradach jego dziewczyny wiedzą już

wszystkie kobiety w mieście, wraz z pomstą na tamte jędze w grodzie — tak mu się mieszały w gniewie, że djabelby sam nie odgadł na kim się to skrupi. Co chwila czerwienieje na twarzy i ogląda się przytem na miasto. Zda się, że gotów nawrócić tam i, w odwecie za jej krzywdę, obić do krwawych sińców najenotliwszą w mieście matronę.

Węc ona popłacz nieco dla podjudzenia w nim tych pomstliwości. Poczem ciągnie go za obie ręce, sadza przy sobie na kamieniu.

„Nie zostałeś w klasztorze?” — pyta o rzecz tak oczywistą.

„Mm!” — nie raczy nawet odpowiedzieć słowem.

I gwałtownym ruchem wyrwa jej coś z ręki. Badawco rozkłada to przed sobą.

„Kapelusz, — mruczy, — z czterema rostkami... Widział to kto coś takiego!”

Ta całkowita jego ignorancja w rzeczach stroju przejęła kobietę tak głębokiem oburzeniem, że ucięła nagle wszelką jej potulność z przed chwili. Obezwala go głupim, powiadając, że się na niczem nie zna. — „Toć to czapka! potrzebna do sukni.”

„To suknia, to kapelusz!.. A każda przy niej szmatka bardzo potrzebna i ogromnie ważna. Takie to wasze, kobiet, czarnoksiężstwo nad naszymi głowami!”

„Czapka!” — poprawia go dziewczyna z uporem.

On tymczasem zwiesił głowę w nagłym zamysleniu:

Zelgane było wszystko, co opowiadała mu przed chwilą! Poprostu burmistrz, spotkawszy rybałkę z kapeluszem na głowie, pociągnął ją na ratusz do podatku i do zapisania w grodzkie księgi nierządu. Na taką jawność już przyszło! Opisać ją niebawem po wszystkich grodach, — a jego za pomocnika w tem jej rzemiośle... Zaś to odziewku potarganie tak gwałtowne? Kto zgadnie gdzie ryba w wodzie bywała?..“

Odpycha skoczkę od się precz. I powiada, że nie obje cholewą lub rzemieniem, bo nie pan mąż; bo gardzi onymi mieszczany, którzy objają swe żonki, by do splakanych pchać się rychło pod pierzynę. Wstrętną jest każda sprzeczka z kobietą, ale wstrętniejsze bodaj jest takie godzenie się potem. Węc to jej powie tylko: że pieszczotą nie dotknie się jej już nigdy.

„Nigdy!” — dodał wyblaskiem oczu z pod kaptura.

Stropiła ją bardzo ponurość tego wejrzenia. „Od mnichów wraca, — myśli, — kto go wie?..“ A rozbrojona z kłamstwa swego, już nie wie, co pojąć; — aż omiękły nagle te jej usta bezradne.

„Nie zostałeś w klasztorze?” — pyta nie do rzeczy, po raz drugi już dzisiaj.

I wybuchnie nagle takim zaszlochem, że aż stuli się cała i rozdygoce ciałem.

Chwycił ją mocno za ramiona oba.

„Bij!” — woła w szlochu dziewczyna.

„Głupiaś!..“

W tył ją przegina tym uchwytem, odsuwa od się, ku lepszemu podpatrzeniu prawdy.

„Mimo piachu łży twej głupiej, jaki mi sypiesz w oczy?..“

„Nie mogę bez ciebie!..“ — buczy dziewczka w obie swe dłonie u twarzy.

Węc podjął odruchowo dłoń dla pogłaskania tej głowy: niechże się uspokoi wreszcie. Prawdopodobnie wcale tak nie jest, jak powiada, może przed własną duszą teraz coś płaczem kłamię, pewnie wcale nie to jej dolega, nad czem się użala. U kobiet nigdy nie wiedzieć. Bo one same nie wiedzą nigdy. Inne w nich dusze.

„I niech je Pan Bóg sam sobie sądzi!” — kończył w zniecierpliwieniu.

Ale ta miękkość w myślach i dłoni, niczem przezgęśle i smyczek, zapadła mu w piersi. Gdy mu dziewczyna po jakimś czasie o sobie opowiadać każe: czemu odbiegł od kamratów na gościńcu, co śród mnichów porabiał, — on rozpoczął swe zwierzenia po męsku: — od końca, — od najdokuczliwszych na razie uczuć. Jął jej tedy opowiadać swe myśli ostatnie, gdy z tego tu wału spoglądał na gród, zamki i klasztor: — jakto wytrącony jest ze społeczności człecznej.

A z samego nadmiaru rzetelności w przystosowaniu się do kobiecych myśli, zdobniały się jakoś te żale.

Oto i wśród kamratów nawet obcym się czuje. Żaden mu z nich przyjacielem nigdy nie był. Linochód, że melancholicus; niedźwiednik, że zazdrosny; żonglery i żaki, że się o sztuki ciągle swarzą; inni że zgola rudes. Sam jest. Nie ma przyjaciół na świecie.

Tak jej się użalał, tem męskim wynurzeniem się przed kobietą, w którym się wszystko w jedno miesza i na drobno miele. Bo nie wiadomo, jak zboczył z tego na opowieść o wielkim mistrzu z za gór, którego słowo jest jak dzwon, duch jak Pawła apostoła, a ton nie gęśli, lecz organów...

„W zyciu i piekle był za żywa duszą jasnowidzącą”, — kończył w zamysleniu.

„Nad czem to się utrapia pod kapturem!” — dziwi się w duchu dziewczyna, spoglądając nań mimowoli z zezem politowania.

Ale, gdy to i owo z księgi mistrza opowiadać jej począł, zaciekała się niebawem tak bardzo, że oto już nie na kamieniu przy nim siedzi, lecz na ziemi. Ramiona spłótła na kolanach jego, zapatrzona weń w tej chwili jak w tęczę: — że mądry jest i wszystko wiel — Oderwały się na chwilę jej myśli od siebie samej; jęły się hen gdzieś błakać!

Nagle, dotykając jego ręki, rozpytuje potulnie: „Powiedz... te nimfy? Są li jeszcze prawdziwe na świecie? choćby tam — za morzem?”

Aż się goliard zachnął rozczarowany: „Złożyła-ż i w to nawet swe jajel” — A głośno parsknął tylko: „Kobietal...”

Przytuliła się doń, cała rozpromieniona wdzięcznością za to słowo. „Nie s a t a n a przeciel”

„Nie trzeba i diabłu pomocnic lepszych!”

Ale gdy się myśl kobieca czego uczepi, nie prędko daruje ciekawościom swoim. Niechże jej tedy opowiada, co wie o tych nimfach: — jakie one były z siebie? (czy ładne nadewszystko?) i czemu ich dzisiaj już nie ma, skoro dawniej były? — Na wygodzenie tym naprzykrzonym rozpytywaniom powiada jej — ot, by rzec cośkolwiek, — że po łąkach nad strumieniem kwiaty tkąły, osadzając je na łodygach traw.

„One?!...”

Objęła ją nagle sapliwa nad tem zaduma. Podbródek włożyła w dlonie i patrzy, a raczej słucha oczyma, co dalej będzie. Coś się tam kłębi, coś mota żywo w tej głowie. Więc on podsuwa temu motkowi jeszcze jakąś tam nić, powiadając, że one takie były zawsze zwiewne ku śmierci, iż wystarczyło wyrwać im jeden włos, a umierały natychmiast.

„Ee?!...” — zdumieniem aż nieufnem spojrzała nań. I w teże chwili obie jej ręce poderwały się ku włosom na ciemieniu, — by poprawić roztargane, przyglaskać nieco dłońmi. A przyłapana uśmiechem jego na tym odruchu bezwiednym, zarumieniła się aż po uszy. I przyznaje ze skrucą, że jest bardzo niemądra.

Jemu podobała się widocznie ta niemądrość, bo głaszcze ją długo po dłoni.

Tem ośmielona przysiadła się doń znów na kamień, — z przyjaźnią zresztą tylko; nie naprzykrza mu się wcale, niech Bóg bronil.. Smutne jest jednak takie sztywne siedzenie w przyjaźni; więc się przytuli tylko nieco, ramieniem szyję mu ogarnie, przy sposobności wąsy mu poprawi. — I zaszepecze przytem niskim nagle głosem:

„Te usta twoje... Daj!”

Zresztą cicha jest przecie i uległa w wiotkości przytulenia.

„Opowiadaj. Mów.”

Ale jemu nie do opowiadań żadnych było już w tej chwili. Zmąciła się w nim powaga i surowość cała. Zaś jedwabista ochłodność jej ramienia, wyczuwana szyją, parzyła go w tej chwili, jak pokrzywa, w tem przypomnieniu gwałtownem, — że wszakże to jej ciało tak niedawno jeszcze..?!

Chwycił ją znów za ramiona i trzęsie z całych sił.

„To jedno powiadaj mi, — szepecie gardłowo nad nią. — Na twoją i moją duszę, prawdę mów! — nie djabeł-że to był chocia?!”

„Któż tobie znówu?” — zachnie się, bardziej zdumiona, niżli zagniewana tą przerwą w pieśnocy. — Któż tobie znówu?”

„Herold on?!...”

Ledwie to rzekł, już po łbie dostał, — że przypomina. Że zaś dobrą chwilę miłości tak przykro zepsuł na samym początku, — „niech przepada, skoro takil”

Zepchnięty z kamienia, przewrócił się tuż obok. A powstawszy z ziemi, zawija się w swój płaszcz i mruży:

„Na ten koniec — ja obity zostałem!”

Ale ona nawet pomyśleć mu o sobie nie pozwala: rozsierdzenie swe na żale mu przekłada, — że ją teraz zazdrością swą zanęka, zamorduje powoli. I pókiż to tego będzie?!.. Zechce ją może zanudzać akuratnem rozpytywaniem bakalarza: quis? ubi? quomodo? quantum?.. A przecie w kochaniu jest rzecz główna, nie w tem, co się komu przytrafi. Przytrafia się zaś każdej kobiecie; niechże raz wie, durny, k a ż - d e j! Żadna jednemu wierną nie zostanie bez szczególnej pomocy Bożej. Tylko, że każda wówczas zatai swoje, wyprze się w żywe oczy, zabalamuci. O, jakież niedobre bywają kobiety! jakie pełne fałszu i obłudy wszelakiej! Ale przez was to właśnie stają się takimi, — żebyście wiedzieli. O, jakżeście wy wszyscy jednakowi.”

„Wszyscy!” — podkreśli goliard jadowitym tonem.

Więc ona, czując, że się przegadała, tem gniewniej wywodzi swe żale. — I to jeszcze: czy djabeł aby tamten nie był? — tem się, głupi, troska. Gdyby ona była mężczyzną, tożby jej wtedy wszystko jedno było, jakim tamten był z siebie; choćby i djabeł sam.

„Choćby i djabeł sam!” — odmachnie się goliard oburacz, nazbyt już cierpko w tej chwili.

Ta niezazdrość znówu zupełna stropi ją w nagle zamyślenie. A po rozważeniu urazi tem głębiej. Więc pocznie tem gwałtowniej snuć swoje żale i motać je niecierpliwie. A gdy się w tym pośpiechu mówienia nasupła znówu jakie uogólnienie niepotrzebne, — wybuchnie napewno płaczem krzywdy serdecznej.

Tego się goliard bał najbardziej; nie z tklivości przecie, lecz z niesmaku oświeconego człeka: — wszędzie na świecie jest więcej ładu, niżli w głowie kobiecej.

Z za cierni i głogów klasztornego wału wychylił się zając, a spostrzegłszy ludzi, położył słuchy na grzbiecie i śmignął, co tchu w skokach polotnych. Powiódł goliard oczyma za tym przypadkiem; zamyslił się, zatulił w swą szatę klerka.

„Poucza wiedza, — mówi, — jak to wąż grzech oznacza, zając — namiętności człeczce. Spłoszyć obu nie trudno; tylko, gdy wąż gnuśnie tuż przy nas w ukryciu się zaczai, zając szparko precz odbieży — gdzieindziej.“

Nie wierzy coś dziewczyna, by zając aż tak daleko odskoczyć miał. Wie natomiast, jak to oświeceni consolationem i żądz opanowania w filozofii szukają.

I że z nią łatwiejsza kobiecie robota, niżli z zażdrością.

W ięc po niejakiem czasie tak ciepło na niego popatry, tak długim zaciągami wybłyśnie ku niemu z pod rzęs, że on tylko się nachmurzy, w tem żywszem przypomnieniu herolda. I palcem surowo przed sobą zamacha.

„Nigdy!“

Z okragłych w tej chwili warg mignie ku niemu ruchliwszym od żmii językiem. I, wzruszając ramionami, odchodzi sobie na bok. Poprawia warkocze, nuci coś przekornie.

Daśa się.

Lecz oto jeden, drugi kamień, na który wskoczyć wzięła ochota; — potem już, jak wiewiórkę, z głazu na głaz ponosiło samą. Że grobowcowe to niegdyś głazy, więc ją nęci płocha wśród nich psota. A że cisza tu taka surowa naokół, więc huka; drażni ochotę, — że ponure.

Póki nie parsknie jak to żrebię i, zgarniając swe szmatki powyżej kolan, nie zapatrzy się ciekawie na tę obrzydliwość czarną i śliską, którą w drgawkach spłoszonej gadziny siepie się oto u kamienia wśród szmeru traw.

„Ważł!“ — powiadają wtedy dopiero okragłe usta i zaokraglone oczy dziewczyny.

Goliard najeżył brwi pod kapturem, acz uspakaja się rozważą, że, gdy się wśród ruin węże przytrafia, zawsze bywają czarne z natury swojej.

Dziewka przycichła. I poszła między kolumn białe złomy, a bluszczów ciemne na słońcu gąszczce. Migoce na ich tle czerwonymi jak mak szmatkami sukni; wnosi w tę ciszę barwy bodaj krzyk i wys-

koki, gdy usta zamilkły i nie skaczą już stopy. A rusza i drażni wszystko. Oto bluszczu potężny kierz zwisa czarną kaskadą na jednej gałązce tylko: — rozkołysze go więc, rozbija nad swą głową. I niczem kasztany wytrząsa z jego gąszczy ślimaków mnóstwo: gradem uderzyły małże o głazy.

Skryła się wreszcie za tą kaskadą.

I wtedy takie milczenie zaległo w słońcu wśród ruin, że zamigotaniem zielonych jaszczurek ożywiały się znów jęły marmurów biele.

Aż jego zaniepokoiło przykro to długie zaczajenie się ciszy. I nasłuchiwać mu każe. Zło nie śpi w takich kątach urocznych. Począł oglądać się za dziewczyną i szukać jej w milczeniu, by nie nawoływać głosem, — łatwo wywołać co w takim miejscu niedobrem.

Uchylił wreszcie tę nawisłą zasłonę bluszczu. Patrzy, — stoi dziewczka jak ta Ewa pod jabłonią: golusienka na całem ciele, nawet przyrodzenia żadną gałązką u bioder nie przysłania. Tylko za jabłko pierś własną w dłoni waży. I, wygięta skrzętnie, przypatruje się biodru i nodze swojej.

„Sprośna ty!.. Oto, nad czem przycichła narzeczcie.“

Za całą odpowiedź wskaże mu przed się. O mur wsparta stoi oto pochyle jakowaś postać w kamieniu o odbitej głowie i strzaskanych stopach. W biodrach ma takie właśnie wygięcie, jakby pod własne spojrzenie wystawiała się ciałem.

„Nimfa!“ — naszeptuje dziewczyna.

„Sprośna ty!“ — zgromi ją po raz wtóry. A jednak wielkie zdumienie objęło go,

I, odwróciwszy się od ciała niesromnej dziewczki, zapatrzył się w kamień żywy. Tuż podle, we wnęce muru, dostrzega jakby podstawę tej figury; na niej dzban działy w marmurze i stopy przyrosłe do cokółu. Poniżej widać zatarte w kamieniu głoski. Rzuci się ku nim klerk, pisma starego zawsze chciwy. Zna dziewczyna tę żarliwość jego w odczytywaniu starego pisma na zmurszałych przy drodze kamieniach lub na głazach, wmurowanych w bramę niejednego grodu.

A naszym ku czemuś zapalem przejmują się tak czasem nasze kobiety, że gotowe i w sprawach ducha współdziałać tą krztyną niecierpliwością swoją. Że zaś w odczytywaniu pomódz mu nie zdoła, więc przynagla bodaj: kopie bosą stopą kłęzącego nad napisem goliarda. „No! — prędzej!“ — niecierpliwi się nad nim.

Ale on przynaglić się nie dał tem poganianiem. Bo dopiero, gdy wszystko odczytał akuratanie, powstał powoli i z dumą klerka zamierzał wytrząsnąć jak z rękawa:

„Aphroditeae divinae sacrae...“

Dziewczynie przywarło coś w tej chwili powieki. I, nim się spostrzegł, runęła czołem o ziemię, włosów nagle rozploty wyrzucając przed się, na głowy przysłonięcie rabinie:

„Pani Wenus samal!”

Ten krzyk bałwochwalstwa urzekł go chyba jawnym już czarem tych ruin — za klasztoru niedobłą granicą.

Bo oto te złomy, jak pnie potrzaskane, dopełniły mu się nagle w oczach, aż po one szczęty okapów, które tu i owdzie zawisały na słupie. I nakryły się dachem w świątyni ogrom kolumnowy. Zaś te marmurów obtłuki nijakie, — z przypadku jakby gładkie, lub z kaprysu natury upodobnione czemuś, — szeregiem bożyców z kamienia stały u wewnętrznych ścian. Pośrodku bieli się ołtarz, w bluszczu osnu- ciach, pod ofiarnego dymu kłębam i smugą.

I słyhać głos z za ołtarza tego:

W progi Apolla świętego siedliska
piewca z czym wkracza? Świeżych gron
obiata
na łask jakich zblaganie spłynie z jego
czary?...

Siebie samego widzi tam u ołtarza. Kłęczy owo waganat napoły mniszy, z gęsłą pod pachą, w czarnej i ciężkiej szacie klerka, zapyłonej kurzem ksiąg i piachem włóczęgi: — jocular niby dzisiejszego ducha, z czołem nie jaśniejszem i nie lżejszem ponoć od onych szat. I bijąc tam czołem o ołtarza stopnie, kończy w duchu modły jakoweś:

.....
nie Indu złoto i słoniową kość,
nie winnic plony i ub sardyńską włosć,
— pogodę duszy mej, o Synu, daj, Latony!..

Niemniej żarliwie od krzyku dziewczyny przed chwilą, dobyły mu się z piersi ostatnie zwłaszcza słowa tej modlitwy. A na pół zaledwie ocknięty z tego czaru, pojął, że na tych bogów cmentarzu żywe kamienie przemówiły doń — przypomniał tak nagle słowem Horaca.

Wczoraj to wszak jeszcze, na kamieniu grodzkiej ulicy, siedział było nad oną księgą, którą od mnichów wykradła dla niego dziewczyna.

„I znowuż ona!” — pomyślał niechętnie.

Ścierał z czoła ten czar i urzeczenie, jakie nań rzucił jej bałwochwalczy tu krzyk. Ale czynił to daremnie. Czy wędrownego poety, — jak żrenice mnicha w godzinę cudu, — zdołały widzieć przed sobą już tylko świat inny.

Oto kłoda marmuru w bruzdach; popatrzysz: opony to widoczne fałdy na kadłubie, u góry bark się wyznacza, ramienia osada, a u piersi podruzgotanej cytry ślad. Niczem trzon kolumny zwalonej, wrósł pochyło w ziemię ten tułów z przyrośłym do piersi szczętem lutni. — On to pewnie sam, który za siebie i Muzy pacierze tu brał, promieniem boskiej pogody dotykając czoła wybrane.

Za chwilę kłęczał goliard prawdziwie u ołtarza, który odnalazł w środku tych ruin. I na marmurowej tafli jego u samych stopni głaszcze dłonią kształty tańczącego Pana z fletnią. I szepcze do się słowa pieśni, śpiewanej jakby pod fletni wtór: „Faunel nimpharum fugantium amator”... A choć śmiech był w tym pacierzu pogańskiego ołtarza, i radość, a rąk klaskanie — winnicom i lanom na błogosławieństwo taneczne, — taka rzewność ogarnęła goliarda, że, przysłoniwszy czoło ciężkim rękawem klerka, zapłaczę bodaj w tej chwili:

„Nasze-ż to, nasze skoczki bachowel jego to wszak kształtem i duchem cieszyć chcą serca człeczce po grodach, — jakby wszystkim trudom człeczmy na błogosławieństwo taneczne!”

I, z tym rękawem wciąż u czoła, potknął się niebawem, jak o kulę, o głowę ze śpiżu zielonoczarną, spozierającą białkami... „Djabła?!” — pomyślał z otrząsem. — Ale wcale nie szatanów złością spoglądają te oczy. Błyskawica i płomień żywy zataja się w uśmiechu tych żrenic; aż po granice upojenia stuliły się zlekka powieki. Usta bożyca są w zadumie poważne, gdy rozsiewną jakby pogodą czoła uśmiecha się brodac, ludziom życzliwy. Liść winny i grono oplata mu czoło.

Odgadł: — Bachus to sam, w wieku dojrzałym, — Dyjonizos!

A ta ust i oczu boskich, sporna jakby ze sobą, mowa, wlała goliardowi w żyły ogień uniesienia w tem przypomnieniu nagłym:

Kędyż, o Bacche! uwodzi Twój duch?
wskroś pełen Ciebie, Tobą upojony w szal,
kędyż się rwę? przez jakąż przedzieram się gąszcz?

.....
ku gwiazdom śląc, pod Zeusa tron
pieśni me nowe, które z żadnych ust...

.....
O, słodka groź! — w Twe ślady, o Boże! o Leneusi!..
gdy winnic boski liść uwieńcza skronie Twoje.

Urwały mu się słowa tej pieśni; myśl w bok nagle odskoczyła. I wyciągnęła się dłoń, jakby po własnego życia tajemnicę, która w tej chwili prze- wiała, zda się, tuż obok niego.

A że tak oczyma i duchem w innych był światach, więc nie spostrzegł wcale, jak z za bluszczów wystąpiła dziewczka jego, dziwnie niesamowita po swych

niedawnych pokłonach u kamienia. Zwarta nagiemi wciąż kształty, stoi jak ta kolumna opodal, jak ona pozłocista na smagłym ciecie. Zaś tych ramion sprężeniem przyzywa snadź wielkiego pogromcę smutku i ociążenia: jego łaski w siebie bierze, aż do tej bladej na licu, do oczu śmienia, aż po tą rozchwiewność ciała i oczadzenie w bezwiedny już chyba tan... Wówczas na miękkich stopach kocicy obiega goliarda kołem urzeczenia, — by odgonić mu z nad głowy Acedyi zmyry, — wypłoszyć z pod kaptura tęsknienia w klasztory, — by corde jucundo poszedł znów z kamraty — na wagancstwo, na włóczęgę, w światy...

Nie postrzegał tego. Natomiast jakby łowiącą przemykającą w myślach tajemnicę doli swojej i kamratów, szeptał do się:

„Tobą od dziecka upojone, i wytrącone za to z chórów społeczności, zbieramy się po błędnych gościńcach życia, igrce wszystkie, — Twój chór, o Le-neusie, i korybanty twe ostatnie!.. W nierządności smutków, w opieszałości nawyków wnosimy ciał czelczych podbijanie w żwawość, myśli w ruch, ducha w zapalność, aż po Twe upojenia bez kruz, — twórczo entuzjazmu, — z którego wszczynają się wszystko, cokolwiek stawać się może wśród ludzi.“

I widział już w myślach:

Nigdy jeszcze z tak żarliwą ochotą nie rozbijali kamraci pomostów na rynku, nigdy jeszcze nie wyiskrzyły im się tak oczy, nie rwały się tak do igrz ramiona i stopy, skrzydlate dziś chyba?... On zaś sam, skoczywszy na kamień u przyźby któregoś domu, obwołuje się ludziom: „Posłuchajcie, panowie, pieśni, która szczęście bogów i ludzi z żywych ka-

mieni wygłosi. I życia doskonałość w oczach wam zdwoi.“

„Witaj!“ — odrzeką. — „Salve!“ — krzyknie rynek cały.

Nie prędko oprzytomniał tym razem, że ani na rynku nie stoi, ani gęśli nawet przy sobie już nie ma (gęśle za votum zostały w klasztorze). Ręce garną się mimo to do piersi, jakby przy nich, ni ten szczer apollinowej lutni, pozostało echo radości dawnych. I za nic mu już w tej chwili nawet oświeconych słuchaczy łaska. Jałmużny to ze stołców grodzkich godności, świadczono za pokłon nadewszystko. Stokroć więcej warte włóczędztwo do zamyślenia — w rytmów tanecznych niespodzianym zewsząd owiewie...

Błogosławione niech będzie to czucie wszystkich rzeczy radośnie błahych!

Zamyślenie nad... Ot nad tem bodaj tylko, jaką to zapiekłą wonią zieją wrzosów fiolety wśród nagrzanych głazów, — jak ta woń aż pęka w białych motyli wytryski i muszek brzękliwe roje, gdy się dołem, u badyli, jaszczurka przewinie; — nad tem, jak te szelestne wiry osinowych liści nad strumieniem słyszą się zdala, by dziewcząt szeptki i zmywy; — nad tem, — jak ten cień pod osiną w boisko taneczne nagle się zamienia, w słonecznych promieni po murawie płas i pustotą niema.

Życia radość sama zataiła się wokół ruin świątynicy dawnej, jakby zaklęta w cmentarne jej milczenie.

W żywy kamień, w marmuru wyraz i gest, zastygł i goliard tu sam, upojon Baccha upojeniem bez kruz. —

(D. C. N.)



Oryg. drzeworyt — Jan Wronecki

MICHAŁ SOBESKI

NA MARGINESIE DON KISZOTA

I.

Gdy św. Ignacy Loyola nie był jeszcze wcale świętym, jeno śmiertelnikiem dość zwykłym, światu i jego uciechom oddanym, i gdy, po postrzale obu nóg podczas oblężenia Pamplony, leżał ciężką niemocą złożony na zamku ojcowskim — rozkazał by mu dano, ku uciechu znekanej duszy, ulubione swe księgi rycerskie do czytania. A jako takich — przedziwnem zrządzeniem Opatrzności — na całym zamku nie było, wręczono mu *Żywot Pana Jezusa* i jakąś legendę świętą. Owocem tej nowej mu lektury było, że niebawem porzucił świat i oddał się całkowicie służbie bożej. I gdy św. Teresa nie była jeszcze świętą a nieubłaganą reformatorką ostrej reguły Karmelitanek bosych, jeno dorastającą dziewczyną, rozkochaną w strojach i pachnidłach, a mającą szczególną pieczę o ręce swe i włosy — były i jej ulubionymi książkami opowieści rycerskie. Nad niemi trwoniła — jak sama nas zapewnia w początku drugiego rozdziału swego „*Żywota*” — długie godziny dnia i nocy. A zamilowania tego nabrała — własnej matki. I ona poświęcała księgom rycerskim bardzo dużo czasu, nie zaniedbując jednakowoż bynajmniej obowiązków domowych.

Namiętności tej hołdowali zresztą bodaj wszyscy ziomkowie św. Ignacego i św. Teresy — a był to przecież już wiek XVI-ty. Stan rycerzy, opiewany w owych *libros de caballerías*, należał dawno do przeszłości. Niecny wynalazek prochu zadał już był ostateczny cios rodzajowi walecznych tych mężów, zakutych w blachę i walczących z przeciwnikiem najchętniej w pojedynkę, na udeptanej drodze. Szczególnie przekłętą „maszyną artylerji”! Nic dziwnego, że budziły one święty gniew rycerzy. Goreje nim serce Kiszota i pełne go są liczne stances Ariosta „*Orlanda Szalonego*”, gdzie na przykład w pieśni XI-tej a stancy 26-tej czytamy, słowami Imci Pana Piotra Kochanowskiego:

Jakoś, o niecnotliwy, przekłety wymyśle
Należł miejsce w człowieczem sercu i umyśle?
Przez cię rycerska sława i chwała spodłala,
Przez cię każda przewaga bez czi została;
Przez cię dzielność w swej słusznej cenie nie zostawa,
Przez cię się za dobrego często zły udawa.
Męstwo więcej na placu przez cię — żał się, Boże —
I serce śmiało stanąć na probie nie może.

Nowe, chytre formy walki, gdzie lada nędzny pachołek mógł kulą zwalić z konia najdzielniejszego męstwo, odzierały z uroku owo zabijanie się dla zabijania się, owe *l'art pour l'art* kunsztu rzeźniczego.

Mimo to wyobraźnia wielkich i małuczkich, panów na zamkach udzielnych i karczmarzy w zajazdach przydrożnych, karmiła się wciąż jeszcze opowieściami o rycerzach, walczących spisą i tarczą. I to opowieściami-dziwadłami, istnemi poczwarami rozkiełnianej fantazji, których główną estetyczną kategorią zdaje się być: nieprawdopodobieństwo, im cudaczniejsze, tem wyobraźni miłsze.

Bibliografia tej literatury, sporządzona przez Pascuala de Gayangos — w wstępie do „*Libros de caballerías*”, obejmujących 40-ty tom „*Biblioteca de Autores Españoles*”, Madryt 1857 — wykazuje wprost olbrzymią poczytność. A były to przecież początki sztuki drukarskiej. Gayangos oblicza, że w obiegu znajdowało się 150 takich dzieł w mniej więcej 500 wydaniach! Wiadomo, że opowieści rycerskie płynęły z najrozmaitszych źródeł. Historycy literatury rozróżniają cztery główne cykle. Cykl bretoński, wywodzący się z podań bretońskich i walijskich, zawartych przedewszystkiem w starych łacińskich kronikach Anglii. Główne postacie tego cyklu jak król Artur z małżonką Ginewrą, Trystan i Izolda, Lancelot du Lac, Parceval lub czarodziej Merlin, są opromienione blaskami świetnej starofrancuskiej poezji. Dalej cykl karlowingowski, oparty o t. zw. *Kronikę Turpina*, czyli *Historia Caroli Magni*, przypisywaną mylnie arcybiskupowi z Reims, Turpinowi, rzekomemu sekretarzowi Karola Wielkiego. Bohaterskie boje Karola w Hiszpanji, śmierć Rolanda pod Roncesvalles, zdrada Ganelona, olbrzym Morgante i t. d., stają się osią całego szeregu fantastycznych utworów, zakończonych wreszcie... parodjami samych siebie. Są niemi mianowicie słynne włoskie poematy: „*Morgante Maggiore*” Pulciego i przedewszystkiem „*Orlando Furioso*” Ariosta, sztydzących świadomie, i „*Orlando Innamorato*” Boiarda, ironizującego mimowoli. Osnowy dla trzeciego, t. zw. antycznego cyklu, dostarczają Grecja i Rzym. Lecz czy Aleksander Wielki, czy bohaterzy wojny trojańskiej — to tylko inne nazwy dla rycerzy, będących w istocie swej rodzonymi braćmi królów Arturów i Orlandów.

Główni przedstawiciele trzech tych cykli znani są także w Hiszpanji, z tłumaczeń i z opracowań oryginalnych. Znajdują się jednakowoż na drugim planie wobec przewagi cyklu swojskiego hiszpańskiego, t. zw. grecko-azjatyckiego. Nazwa wywodzi się od kraj, gdzie bohaterzy popelniają wielkie swe czyny, mianowicie od ziem greckich i tureckich. A ojcem — podwójnym, bo cielesnym i duchowym — całego zastępu tych rycerzy jest „*Amadis de Gaula*.” Skomponował go zapewne portugalczyk Vasco de Lobeira. Lecz wówczas znano go jedynie z przeróbki hiszpańskiej, sporządzonej w ostatniem dziesięcioleciu

XV-go wieku przez Garci Ordoñez de Montalvo. Oryginał Lobeiry nie odnaleziono zresztą do dziś dnia.

Amadis jest przedślubnym synem króla Periona z Gaula (dzisiejsze Pays de Galles lub Wales w Anglii) i księżniczki Elizeny. Wrzucony do morza celem ratowania honoru matki, caleje niemal cudem. Jako panicz morski, donzel del mar, przebywa na dworze króla Szkocji, gdzie dokonuje licznych czynów bohaterskich. Losy wiedą go z pomocą królowi Perionowi. Nie wie oczywiście, że Perion jest jego ojcem. Znow po szeregu wspaniałych czynów poznaje go wreszcie Perion i uznaje za syna.

Mniejwięcej według tej samej modły napisane są opowieści o następcach Amadisa. Syn jego Esplandian, bohater romansu pod tytułem „Las sergas de Esplandian” jest, całkiem jak ojciec, dzieckiem miłości — zrodzonym z przedślubnych niepokoi Amadisa i księżniczki Oriany. Porywa go nie morze, lecz lwica. Karmi i wychowuje go tak dzielnie, że staje się wreszcie zdobywcą państwa Osmańskiego, naturalnie po sporej liczbie rycerskich zdziałań. W podobny sposób ułożone są opowieści o wszelkich dalszych synach, wnukach i prawnukach Amadisa i Esplandiana, jak Florisando, Lisuarte de Grecia, Amadis de Grecia i kilku innych aż do Don Silvesa de la Selva, z roku 1546-go. Na nim kończy się hiszpański cykl Amadisowych potomków, których dzieje wypełniają razem dwanaście obszernych ksiąg.

Na kanwie tego schematu snują różni autorzy tych opowieści oczywiście wielce różne szczegóły, ozdobione najrozmaitszą ornamentacją. Sam praszczur, Amadis de Gaula, jest książką jeszcze całkiem znośną, mimo znacznych nieprawdopodobieństw. Zbyttno się nie dziwimy, gdy Amadis pokonuje własnoręcznie przelicznych olbrzymów, czarodziei i rzeźce przeciwników. Tym więcej, że psychologia działających osób jest trafna, a język niemal wzorowy. Toć Juan de Valdés, mistrz i znawca prozy hiszpańskiej, autor świetnego *Diálogo de la Lengua* z roku 1536-go, poleca Amadisa wszystkim, pragnącym wyuczyć się gruntownie języka kastylijskiego. Historję Amadisa zachwyca się taki Torquato Tasso, mieniać ją w swej *Apologia della Gerusalemme* „la più bella che si legga fra quelle di questo genere, e forse la più giovevole; perche nell'affetto e nel costume si lascia adietro tutte l'altre, e nella varietà degli accidenti non cede ad alcuna che dappoi o prima sia stata scritta.” A wreszcie uznaje ją sam Cervantes. Z słynnego autodata, jaki urządzają proboszcz i golibroda z księgozbioru Kiszota (rozdział 6-ty), wyłączają właśnie Amadisa, „jako najlepszą książkę z wszystkich tego rodzaju.”

Natomiast cieleśni i duchowi potomkowie Amadisa nie krepują się już zgola niczem. Każdy z tych mężów tępi własnoręcznie całe armie nieprzyjacielskie. Ścina tby olbrzymom łatwiej niż kapuście. Cały aparat karłów, potworów ziemskich i morskich, księżniczek zaklętych i zamków zaczarowanych roztoczony jest z wielkopańską rozrzutnością. Rozkiełznana wyobraźnia nie uznaje żadnych granic. W „Lisuarte de Grecia” oblega 67 książąt Konstantynopol, a pewna dama pojawia się w czolnie, ciągniętem przez cztery małpy.

Prócz dzielnego rodu Amadisów pleni się nie mniej waleczna rodzina Palmerinów, wywodząca się z Palmerina de Oliva, bohatera powieści pod tymże tytułem. Dzieje Palmerina i licznych jego następców jak Primaleona, Don Polinda, Platira, Flotira i innych, zapelniają znow szereg foliałów. A wszyscy wzorowani są najwidoczniej na Amadisach. Obok tych cykliw rodowych pojawia się jeszcze znaczna liczba poszczególnych powieści, jak np. wspomniane również przez Cervantesa „Tirante el Blanco” lub „Felixmarte de Hircania.” Na dobitkę nie brak także duchownych opowieści rycerskich. Franciszkanin Gabriel de Mata np. opiewa twórcę swego zakonu jako rycerza w „El caballero Asisio”. Na karcie tytułowej widać św. Franciszka konno, w rynsztyнку bojowym. Guarino Mezquino, bohater wielce rozpowszechnionej kroniki włoskiej, przełozonej w XVI-tym wieku na hiszpańskie, jest równocześnie rycerzem i apostołem wiary. Dokonawszy olbrzymiej liczby czynów orężnych i nawróceń pogan w Indjach, Afryce i w krainie Tatałów, żeni się wreszcie z księżniczką z Persepolis.

Wszelkie te wytwory literatury rycerskiej szerzą się w Hiszpanji przez cały wiek XVI-ty z niesłychanem powodzeniem — podczas gdy w innych krajach zainteresowanie się nimi już niemal było wygasło. W takich Włoszech rozumiał Ariosto już w samem początku XVI-go wieku, a więc okragle 100 lat przed Cervantesem, że tematy rycerskie nadają się teraz tylko do ironizowania, a nie do poważnego opracowania. Zdawał sobie sprawę, że czasy poematów epiczno-heroicznych, czasy Ramayany, Maha-Bharaty, Iliady i nawet Eneidy minęły bezpowrotnie. A zresztą mieszczaństwo włoskie, możne, kulturalne i świadome własnych swych sił, nie było się przejmowało nigdy zbyttnio sprawami rycerstwa. W Hiszpanji natomiast rozpoczyna się właśnie wówczas rozkwit tej fantastycznej literatury. Jako pierwszy ukazuje się po hiszpańsku Tirante el Blanco w r. 1490 — a praojciec wszelkich Amadisów dwa lata później. Czytelnicy hiszpańscy nietylko pochłaniają te książki, lecz nawet wierzą w nie święcie. Nie wątpią o istnieniu Amadisów, Palmerinów i Merlinów. O Filipie II-gim opowiadają sobie, że żeniąc się z Marją, księżniczką

angielską, przyrzeka, iż w razie powrotu... króla Artura, uzna wszelkie przynależne mu prawa.

Oczywiście nie brak osób światłych, dostrzegających niemałe niebezpieczeństwo takich urojeń. Luis Vives, największy myśliciel hiszpańskiego Renesansu, a może i wszystkich czasów swej ojczyzny, wytacza przeciw nim cały szereg teologicznych i moralnych argumentów. Podobnie odzywają się najtęższe ówczesne umysły jak Melchor Cano, Alejo Venegas, Luis de León, Malón de Chaide lub Benito Arias Montano. Nawet władze państwowe zdobywają się na kroki energiczne. Już w roku 1543-cim zabrania dekret Karola V-go nabywania i nawet czytania powieści rycerskich Hiszpanom, zamieszkałym w Ameryce. Karol nosi się nadto z zamiarem zupełnego wyrugowania ich, na podstawie stanowczych żądań Korteżów z Valladolid. Lecz wszystko to skutkuje niewiele. Jest bowiem publiczną tajemnicą, że w zaciszu swej biblioteki rozkoszuje się tenże Karol V-ty Don Belianisem de Grecia, może najbzdurniejszym z bzdurnych tych utworów.

Naród hiszpański strawił znaczną część swej przeszłości na ustawicznych heroicznych bojach z Maurami. Dopiero co (1492) był rozkuł ostatnie ogniwo znieprawdzonego jarzma. Węć zbyt trudno mu było pożegnać się odrazu z postacią rycerza. Bo choć w karykaturalnej przesadzie, to jednak mówiła mu ona o świetności oręża, tak drogiej jego sercu. Odużał się nią jak ciężkiem winem z Jerez lub Malagi. A zresztą, jakże nie miał wierzyć w nadludzkie czyny Amadisów i Palmerinów, gdy widział własnymi oczami, jak nowocześni jego rycerze zdobywali również nowe wielkie królestwa, wiele, wiele większe niż Grecja lub Turcja? Toć Fernando Cortés podbił z garstką towarzyszy olbrzymie państwo Azteków Meksykańskich. A Franciszek Pizarro skruszył panowanie wysoce kulturalnych Inkasów w Peru. Jakże tu mówić tedy Hiszpanowi o jakichbyś niemożliwościach dla rycerza o pięści twardej a sercu nieustraszonem?

A czego nie zdziały ani dekrety panujących, ani wywody filozofów i uczonych, dokonało jedno pchnięcie lekkiego rapiru ośmieszającej ironji. Po ukazaniu się pierwszej części Kiszota w roku 1605-tym, nie ma już nikt odwagi powołania do życia dalszych następców Amadisów lub Palmerinów. Ostatnią opowieścią rycerską — pominąwszy kilka nowych nakładów dawniejszych utworów — jest Don Policisne de Grecia z roku 1602-go. A rapir Cervantesa świszczał tak złowrogo, że cała ta olbrzymia literatura zapadła się gdzieś bezpowrotnie. Ówczesne książki rycerskie należą dziś do najcenniejszych skarbów bibliotecznych. Za jeden egzemplarz Amadisa de Gaula z roku 1535-go zapłacono niedawno marek 2800!

Wytepienie tej rozwydrzonej literatury rycerskiej, „wysuszającej mózgi“ swym ziomkom, oznacza sam Cervantes za główny cel Kiszota. Mówi o tem niejednokrotnie. W przedmowie do Kiszota zapewnia, że cała książka jest „una invectiva contra los libros de caballerias“. Ostatnie słowa, kończące Kiszota, brzmią: wyłącznem mem życzeniem było obrydzić ludziom wymyślone i bezsensowe opowieści, zawarte w księgach rycerskich, zachwiane już przez mego prawdziwego Don Kiszota, więc niewątpliwie bliskie upadku.

Że Cervantes cel ten osiągnął tak wspaniale, było w pierwszym rzędzie oczywiście wynikiem jego satyrycznego geniuszu. Lecz w drugim rzędzie, nie pomniejszając bynajmniej jego zasługi, zapominać nie należy, że właściwą drogę miał on wskazaną już od dość dawna. Przypominamy Pulciego i Ariosta. Dalej, mimo niesłychanej poczytności ksiąg rycerskich, poczynął smak publiczności hiszpańskiej już gruntownie się przemieniać. Toć na tenże sam wiek XVI-ty przypadają narodziny i rozkwit noweli i powieści w Hiszpanji, i to w ujęciu całkiem realistycznym, skrajnie przeciwnym rozwichrzonej romantyczności libros de caballerias. Także Włosi utorowali drogę, głównie Boccaccio Dekameronem. Dla noweli realistycznej na sposób włoski wywalcza odrazu i z nadzwyczajnem powodzeniem prawo bytu sam Cervantes, przez swe niezrównane „Nowele przykładne.“

Dalszym mimowolnym lecz silnym przeciwnikiem powieści rycerskiej staje się rozkwitająca novela pastori. Rodzą ją znów Włochy, mianowicie Jakób Sannazaro, piszący słynną „Arkadię“. Zapoznaje się z nią w Włoszech Jorge de Montemayor i wróciwszy do Hiszpanji naśladuje ją w „Diana Enamorada.“ Niedokończony ten poemat uzupełniają Alonso Pérez i Gaspar Gil Polo. Późtem pojawia się niebawem cały szereg poetów, uprawiających nowelę pasterską, jak Luis Telez de Montalvo lub Bernardo Pérez de Bobadilla. Nawet najwięksi przedstawiciele hiszpańskiego Parnasu ulegają modzie: Lope de Vega pisze także „Arkadię“ a Cervantes „Galateę“. Zagodna, rzewna nowela pasterska, lubująca się w spokojnem szemraniu strumyków i w niezbyt głośnem pobekiwaniu owiec, jest jakoby reakcją osób o delikatniejszych nerwach, znużonych powieściami rycerskimi, pełnemi szczerku mieczy i wrzawy wojennej. Miast niebezpiecznych zdobywań księżniczek, strzeżonych przez straszliwych smoków i złośliwych czarnoksiężników, mamy ekliwne melodramaty pasterzy i pasterek na tle aż nazbyt sielskiej przyrody.

Samowładnie wytwarza Hiszpanja natomiast swą skrajnie realistyczną nowelę łotrowską lub hultajską,

novela picaresca. Niewykryty do dziś dnia autor „Vida de Lazarillo de Tormes” stwarza w Lazarillu świetny literacki prototyp „łotra”, wielce ciekawego, lecz w gruncie rzeczy niemniej smutnego objawu socjalnego ówczesnej Hiszpanii. „Rabusie wielkich, gościńców — powiada Julian Adolf Świąćicki w 3-cim tomie wyczerpanej niestety „Literatury Powszechnej”, Warszawa 1891 str. 352 — oszuści, faktorzy, wydrwigrosze, dezterterzy i galernicy zbiegli, rojący się po przedmieściach miast wielkich, stanowią w noweli łotrowskiej główne osoby. Przebiegnijcie pola, tak żyjne niegdyś — pisze Navarrete — a znajdziecie na nich tylko pokrzywy i jeżyny, gdyż niema rąk do uprawy. Większość Hiszpanów nie dziś nie robi, jedni pod pozorem szlachectwa, inni dlatego, że wołają zebrać. Szczególny widok przedstawiają ulice Madrytu, przepelnione tłumem włóczęgów, którzy dzień cały grają w karty, oczekując na obiad w klasztorze, lub na rabunek pośród nocy. W tym tłumie obok mężczyzn są i kobiety, awanturnice, których występki gangrenują miasto i załadniają wszelkie szpitale.”

Oczywiście los picaros stanowią tylko „odwrotną stronę medalu”. Ówczesne społeczeństwo hiszpańskie było przecież wytworzyło co dopiero potężne imperjum wszechświatowe. Również sztuka i literatura przebiegały właśnie wówczas swój wiek złoty. Bądź co bądź tą odwrotną stroną, zapowiadającą niedaleki już rozkład społeczny, zajmują się żywo publiczność, a jeszcze więcej literaci. Toż za autora, wprowadzającego „łotra” do piśmiennictwa, uchodzi przez liczne wieki Diego Hurtado de Mendoza, wybitny historyk, poeta, polityk i mecenas sztuk pięknych, arystokrata, żyjący w zbytkach, nie mający wcale sposobności zetknięcia się z milieu, tak szczegółowo przedstawionem w Lazarillo de Tormes. Dopiero współczesny romanista francuski Alfred Morel-Fatio kruszy ostatecznie legendę o autorstwie Mendozy.¹⁾ W każdym razie czytelnicy rozchwytyują Lazarilla. Niemniejszym powodzeniem cieszą się następnie powieści łotrowskie jak „Guzmán de Alfarache” przez Mateo Alemán, „El gran Tacaño” przez

Franciszka Gomeza de Quevedo, autora dorównywującego niemal Cervantesowi, lub „La pícara Justina”, jaką pisze dominikanin Andrés Pérez de León — pomijając sporą liczbę mniej wartościowych naśladowców. A i sam Cervantes zajmuje się nowym tym przedmiotem, jak świadczą choćby Rinconete i Cortadillo, dwa mistrzowskie typy łotrzyków z „Nowel przykładowych.”

Rozczytywanie się w tych naturalistycznych utworach osłabia z natury rzeczy zamiłowanie do fantastycznych opowiadań rycerskich, czyli przygotowuje doskonale grunt pod zwycięski atak Kiszota. Że Cervantes zamierzał stworzyć w Kiszocie satyrę przeciw libros de caballerías, nie ulega żadnej wątpliwości. Lecz czy rzeczywiście Kiszot nie jest niczem więcej jak tylko taką satyrą? Czy może czyn Cervantesa nie przekroczył własnego jego zamiaru, o którym tak dobitnie nam mówi? Już nawet bez czytania Kiszota odpowiedzieć można, że musi on być czemś więcej. Kiszot należy do tych nielicznych bądź co bądź postaci literackich, znanych w całym i to nie tylko literackim świecie. Obliczono, że prócz Pisma Świętego i Szekspira należy do najczęściej rozpowszechnionych książek na kuli ziemskiej. Przełożono go na 20 języków w przeszło 70 tłumaczeniach. Sama Francja posiada np. 15 tłumaczeń. A przekłady te wyszły w niezliczonej wprost liczbie wydań. Takiego rozpowszechnienia nie zyskała nigdy żadna satyra literacka. I oczywiście wcale zyskać by nie mogła. Wszelakie satyry literackie są zawsze wytworami, złaczonymi z modą. Powodzenie ich ustaje, gdy cel swój osiągają, gdy schodzi z widowni kierunek, przeciw któremu występują. Opowieści rycerskie znikły bezpowrotnie, zaś Kiszot jest „aktualnym” po dziś dzień. Nie jest on tedy czemś w rodzaju Leandra Fernandeza de Moratin „La derrota de los pedantes” lub Boileau „Les héros du roman”, dialogu „à la manière de Lucien”, skierowanego przeciw pewnemu rodzajowi powieści, modnych w połowie XVII wieku — mimo że w tym duchu wypowiedział się sam Cervantes. Czemże tedy jest? By odpowiedzieć, trzeba się oczywiście rozejrzeć i w człowieku i w dziele.

¹⁾ „Études sur l'Espagne” II-gie wydanie, seria pierwsza, Paryż 1895 str. 107 i nast.



TRZY KSIĘGI

IGNACY NIKOROWICZ

— Wskaż mi mój mistrzu,
gdzie wiedzy krynica?
jak zwie się księga, która
krzepi duszę
i rozum prawdy wiecznemi
zachwyca?
wskaż! wskaż! bo w kłamstwa
bagniskach się duszę...
— Czytaj mój uczniu w łzach,
co płyną skrycie
i czytaj w bruzdach, które
rzeźbi życie.

— Mój mistrzu, mistrzu! w łzach
też skryte zdrady —
ona płakała, chociaż była winną...
a w twarzy bruzdy miał
rozpustnik blady!
niechcę tej księgi! wskaż mi
księgę — inną...
— Niechaj mój uczeń w polnych
kwiatach czyta
i w najskromniejszych prawda
prawd ukryta...

— Mistrzu! na pole rdza
padła jesienią
i zasypała śmiercią
cudną księgę,
a teraz barwne jej strony
się mienia
śniegiem, co na niej
złożył białą wstęgę...
— Idź między gwiazdy! hen! hen!
mleczną drogą —
One ci wskazać prawdę
wieczną mogą!...

MISCELLANEA.

W 50-tą ROCZNICĘ.

Przejęci serdeczną myślą o walce bratniego ludu za święte prawo kultury człowieka w dniu uroczystości położenia kamienia węgielnego pod gmach narodowego teatru w Pradze, który od pół wieku walki tej jest promiennym znakiem — łączymy się duszą i sercem wraz z wszystkimi w polskim narodzie, którzy twórczego ducha ukochali nadewszystko.

Poznań, dnia 16 maja 1918.

Wydawnictwo i redakcja „Źdruju”.

Odezwa w sprawie pisowni. Powołani do Krakowa przedstawiciele nauki i szkolnictwa ze wszystkich dzielnic polskich zgodzili się w dniu 5-go stycznia 1918 roku na główne zasady pisowni, które Akademia Umiejętności przez swój Wydział filologiczny dnia 15-go stycznia b. r. za stałe uznała i ogłosiła.

Uchwale naszego areopagu naukowego poddajemy się bez sporu i sprzeciwu, jak to już uczynili rodacy z innych dzielnic. — Z serdeczną radością witamy ten pewnik, że obecnie osiągnęliśmy jednolitość na tak ważnym polu piśmiennego wyobrażania dźwięków naszego pięknego i nad wszystko ukochanego języka.

Wzywamy przeto wszystkie redakcje gazet i czasopism, wszystkie wydawnictwa i drukarnie nasze, oraz wszystkich rodaków, zwłaszcza młodzież i osoby nauczające, aby bez wahań lub zmian przyjęły odtąd „Główne zasady pisowni polskiej” i do nich się tak w druku, jak w piśmie stosowały.

Niechaj ta zgodność w używaniu zasad pisowni stanie się jednym z widomych objawów naszej jedności.

W Poznaniu, dnia 3-go maja 1918 roku.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Towarzystwo Naukowe w Toruniu.

Towarzystwo Naukowe Polaków w Berlinie.

Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów.

Komisja Językowa Wydziału historyczno-literackiego.

Towarzystwo Oświaty na Śląsku im. św. Jacka.

Towarzystwo Czytelni Ludowych.

Wydział kulturalno-oświatowy Rady Narodowej.

Wczorajsze społeczeństwo Warszawy w odzwierciedleniu Józefa Weyssenhoffa.

(C. D.)

Jan Dolega — ten szermierz postępu i czynu, opierający całe obliczenia swoje życiowe na klasie ludzi, których dość znać najpobieżniej, by domyśleć się, że sprawę tego rodzaju pogrzebać muszą — wydaje się niezręcznym — i małym. System protekcji i stosunków, przemożny w Warszawie w pewnych odłamach społeczeństwa — użyty został przez autora, jako środek dojścia do celu — środek poważny i niezawodny. Tak silnie tkwiło w Warszawie przeświadczenie, że „stosunki” z Petersburgiem, mają wpływ i znaczenie, tak gorliwie rozpowszechniana było obłudne, lub uludne pojęcie, że tego rodzaju stosunki dadzą się inaczej, niż dla prywatnych celów lub ambicji — że Weyssenhoff każe się bohaterowi swemu z pełną dobrą wiarą imać tego kruchego środka. Wiemy dziś, że co dla narodu, czy społeczeństwa dokonaniem zostało — w dziedzinie oświaty, uświadamienia, w dziedzinie jedynie ważnej narodowego ducha — zostało dokonaniem wbrew tym, a nie z pomocą tych, do których zwracali się „ustosunkowani” przyjaciele i protektorowie Dolegi. Sprawa jego, uzależniona całkowicie od dobrej woli i laakawości wroga — jest nam obcą — miłość jego do książeczki nie przekonywa i nie wzrusza, bo to znowu osobiste uczucie mało nam sympatycznego człowieka. Logicznie zatem — rozczarowanie jego i ból muszą nam być najzupełniej obojętne. Kto ziaczenie ideałów swoich, jakiegokolwiek one są, duchowe,

czy praktyczne — opiera nie na swojej pracy i walce, ale na mamutach i manekinach — tego zawód spotkać musi. Ideały — a raczej plany i ambicje Dolegi miały wprawdzie w zamiarze autora szeroki zakres społeczny i narodowy — w praktyce jednak, t. j. w książce, są tak drobne, tak nieznaczące, że zapasy o nie interesować nie mogą. Powaga zatem postawionej tezy — nie utrzymuje się ani na chwilę. Pozostaje honor. Gdyby Warszawa miała wówczas ochotę obserwować tych ludzi — byłaby się tylko śmiała. A ponieważ Weyssenhoff chciał wywołać zastanowienie, a nie wesołość — powieść jego pod tym względem uważać należy za chybiącą. Satyra jego, ta sama dobrotliwa, niefrasobła, a nawet życzliwa satyra — omotała nietylko sferę ludzi, zamierzony cel swego pocisku — ale i samego bohatera, który miał być ich przeciwwstawieniem. Cała wartość artystyczna sprawy Dolegi — to światło jaskrawe, rzucane na znane nam już tło Podfilipackiego. To typy Zbaraskich, Zbąskiego, Kerstena, Zawiejaskich. Ci sami ludzie co w poprzedniej książce lepiej, wydatniej — przepysznie ukazani. Zbiorowo — czasem straszeni. Dość przypomniać odwiedzin hrabiego Zellera w starożytnej siedzibie Zbaraskich. Ta wizyta — to pewno najlepsze karty powieści — ale też potęgujące o ton tragiczny. Niema waplwości, że autor grozę i ohydę tego rodzaju „przyjść” bezpośrednio i szczerze odczuł — i zbrakło mu sił do uśmieschu. A jeśli nie czuje bólu — to przynajmniej wstyd. Jak dobrze się stało, że ci, podejmowani przez wyższe dziesiąty tysięcy obcy goście — mieli zawsze odpowiedź milczących, lub szepczących niższych setek tysięcy.

Dolega nie z tego względu sądzi i potępia protektorów swoich.

„Są jak stojąca woda — mówi. Popchniesz ją — rozleje się; chcesz ją zapalić — mokra; użyj do obracania młynów — nie płynie. A zalewa jednak ogromną przestrzeń kraju i gdzie nie plesnieje, tam zakrywa bezużytecznie rodzaje pola. Dlatego przez tę samą wodę trzeba przeprowadzić mocne groble, po której przejdą nowi ludzie „najlepsi“. Trzeba dać tej wodzie nowe dopływy z nowych źródeł i skierować ją na jakiś pożytek. Myślałem, że zdołam coś takiego rozpocząć, choćby w drobiazgu choć do pewnej miary nie przenosząc moich sił... Ale gdzie tam! Nic niema tu do wymienienia, trzeba iść gdzieindziej, trzeba szukać ludzi a nie „sfer“.”

Ależ naturalnie, ależ naturalnie, panie Dolega. Tylko, kimże pan jesteś? I czego chcesz pan dokonać?

„Sprawa jest wielkiej doniosłości! — twierdził z początku Dolega, nitylko pod względem ekonomicznym ale i cywilizacyjnym.”

Dobra sieć dróg bitych jest pierwszym warunkiem rozwoju danej okolicy pod tem względem. Na to zgoda. A więc:

„Drogi te muszą powstać z czyjejs inicjatywy. Państwo ma mnóstwo do roboty i nie może, nawet gdyby chciało, wiedzieć dokładnie o potrzebach miejscowych. Pozostaje więc droga prywatna, sankcjonowana przez Rząd — pozostają koncesje.”

Na czem więc polega misja Dolegi, misja owej stojącej, spleśniałej wody? Oczywiście na skierowaniu jej koryta w stronę Petersburga i na dostaniu się do leżących pod nią pokładów złota. Przyczem podniesie się ekonomicznie i cywilizacyjnie kraj, o którym Państwo w Petersburgu przy najlepszej chęci nie ma czasu myśleć — no — i zarobi pan Dolega.

Bo Jan Dolega, ten pionier czynu i przyszłości, chce być bogatym. Zresztą słowami autora odtworzyć można jego sylwetkę.

„Pracownikiem był silnym i umiejętnym. Zyskał wziętość. Przyczynił się do tego i wdzięk jego energicznej postawy i dobre szlacheckie nazwisko. Rodzime jego usposobienie było tylko pozornie zgodne z zasadami wyrobionemi przez wychowanie i twardą konieczność życiową. Matka obawiając się w dziecku dziedziczości po ojcu niebezpiecznych i burzliwych porywów (ojciec zginął w powstaniu), dała mu wychowanie ultra realne, ale przez każdy jego czyn — oto — buchał gorący płomień ogólnego dobra. Tej miłości ani się nie wstydził, ani się zapierał przed samym sobą... pragnął ją tylko pogodzić ze swem określonym działaniem.”

Jakoż — gdy zdał sobie sprawę z uczucia swego do Halszki, a zrozumiał, że i ona jest mu przychylną — zrozumienie to dało jako wynik praktyczny — chęć szybkiego zubożenia się. „Że pieniądze są potężną dźwignią w ręku przedsiębiorczego człowieka, o tem Dolega myślał dawno.” Ale teraz ta myśl go pochłonęła. By zubożać się prędzej, sprzedaje obrazy rodzinne, wielkiej wartości. Gdy jednak znawcy krajowi dają za mało, krzewiciel cywilizacji w kraju — posłał (cytuje dosłownie) fotografii i ofertę do muzeum w Berlinie, stawiając cenę dwa razy większą od żądanej w kraju. Jakoż, po niespełna miesiącu, przyjechał agent galerii berlińskiej, obejrzał obraz i żadaną cenę zapłacił. A Dolega nie miał wtedy noża na gardle; wiodło mu się materialnie dobrze, chciał się tylko „przedej zubożać”.

Tak przypatrzwszy się bohaterowi dydaktycznej powieści Weyssenhoffa, rozumiemy, nitylko czemu niepowodzenia jego miłosne, czy pseudo-społeczne nic nas nie obchodzą, ale że ostrze satyry autora zwraca się nie przeciw tym, z którymi Dolega walczył, ale przeciw niemu samemu. Duszy, z której „bucha gorący płomień ogólnego dobra” autor nie odczuł lub może nie poznał.

Jeszcze go nam pokazuje w świetle samozaparcia się i wyrzeczenia, gdy nie chce przyjąć ofiary umiłowanej dziewczyny, gdy odpędza ją dla jej szczęścia, gdy rozumiał, że kochać nie znaczy cierpieć, ale poświęcać siebie i cierpieć dla umiłowania swego.

I w poświęceniu i w umiłowaniu Weyssenhoff widzi zawzięto tylko drugiego człowieka, który nas nie obchodzi nic. A my poza Halszką, ocierającą łzy koronkową chusteczką, widzimy tragiczną postać Joasi i słyszymy jej „płacz jedyny w obliczu Boga”. Brzmi już straszliwe zaprzysiężenie Judyma: „Muszę wyrzec się szczęścia, muszę być sam jeden. Nie mogę mieć ani żony, ani matki, ani ojca, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do piersi z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną podle zmyr...” niewoli i nędzy. I w pył rozpada się pianka dącości Dolegi, śmieszności sfery, w której się obraca, ich wzloty słabiotki i upadki nieszkodliwe. Słuchajmy, słuchajmy! Burzy się i pieni potężna fala tego drugiego potoku życia Warszawy — ziemia drży od uderzeń kilofów Ludzi Podziemnych. Rewolucja idzie!

Przyszła rewolucja i zmąciła bieg życia Warszawy. Zmąciło się i zakotłowało pogodne w gruncie życie Dolegi i jego przyjaciół, Podfilipskiego i jego otoczenia. Padł lęk na umysły i zadrzały w swym gładko ułożonym bycie, doskonale wyrównane egzystencje. Poczęto przeczuwać możliwość rzeczy nagłych, nieprzewidywanych, walących się z brutalną siłą w poprzek utartych, wygodną stopą udeptanych dróg. Ściemniała przejrzystość wody, płynącej w jasnym potoku Warszawy, wlewał się weń pocał, złowrogo szumiący, nurt drugi, spieniony, żółty, mętny i groźny, a już oto od czasu do czasu wytrysnęło w górę tu i owdzie gorące, podziemne źródło. Nad głowami sytych, bezmyślnych i pogodzonych zawisnął lęk i postąszeli może wtedy nad sobą po raz pierwszy szum akryzydel, które może orlemy były, lecz które oni za krucze uznali.

Wybujala też, wzmożła się i buchnęła literacka twórczość. Ktokolwiek pisał, czyjego głosu społeczeństwo słuchać przywykło, ten czuł się powołany do oznajmienia spostrzeżeń i prawd swoich. Dziś, gdy między tą chwilą a nami, huragan wypadków rzucił wprost historyczną perspektywę, gdy ciakani od bezdna rozpacz do szczytów nadziei patrzmy na przejęcia ówczesne, niemal, jak na epizod drobny, dziś przyznać musimy, że wszystkie współczesne próby ujęcia ich i odtworzenia, słabe były i nieudolne. Nikt ze współczesnych, prócz jednego Struga, nie zdobył się na obiektywizm sądu: epopei — rewolucja nie dała — dała tylko polemikę i splątane, mętne obrazy. Polemiczne, subiektywnie oświecone „Wiry” Sienkiewicza, lepiej że już są zapomniane. Nie pamiętamy ojcowską troską i niepokopem przepojonych „Dzieci” Prusa. Rwie się i tamie opowieść Żeromskiego o „Róży”. Zapewne, że moment zbyt bezpośrednio trafiał w duszę, zbyt był upragniony przez jednych, zbyt przerażał drugich, by móc wydać skończoną pod względem formy, a bezstronne pod względem treści, literackie dzieło. Nie można dziwić się Weyssenhoffowi, że powieść jego z epoki rewolucji, jest powieścią chybioną. Ujmuję ją w rękę, nie by mówić o jej wadach i zaletach, ale by śledzić w niej duszę autora, która jest duszą wielu w społeczeństwie.

Weyssenhoff poruszył chwilę rewolucji dwukrotnie: w szeregach feljetonów objętych ogólną nazwą „Dni Polityczne” i w powieści „Hetmani”.

Pierwsze należy czytać i traktować li tylko jako feljeton. Nie brak tu dowcipu, humoru, nie brak zwykłej u autora dosadnej obserwacji. Wcale żywy, powierzchownie, jest ów pan Apolinary Budzisz, z którego podobna się autorowi czynić dzialacza. Ale jest w całym nastroju tego zbioru feljetonów, odczytanych razem w książkowym wydaniu, coś niezmiernie obra-

żającego doniołość przeżywanych wówczas dni. Jakielkolwie one były w rezultacie: były groźne, były krwawe, były wzniołe. Ktoś tam walczył, ktoś tam ginał, lśniły jakieś nadzieje, rozbiły się szeregi iatnień i pokutowali lata całe później, za chwile porywów, szeregi szlachetnych. Mówiono o setkach zesłańców, o niezliczonych wyrokach śmierci. Wrzał jakiś straszny gniew, wzmagała się, naprężała, pasowała i lamala jakaś ogromna siła... i po raz pierwszy od pół wieku blisko, jakby z za najgrubszych murów, dochodziły zaczęły głosy wołające: „Niech żyje niepodległa Polska“ — wołające te słowa u stóp szubienicy. Weysenhoff nie usłyszał ani jednego z tych dźwięków. „Dni Polityczne“, jak je nazywał, były mu tematem do śmiechu równie niefrasobliwego, równie salonowego, jak śmiech w salonie księżnej Zbarskiej lub w eleganckiej restauracji z towarzystwem Podfilipskiego. Działalce jego, wszyscy bez wyjątku, to ludzie albo próżni, dla których praca jest środkiem wzmocnienia, lub uzyskania stanowisk, albo naiwni poczeiwy, siłą przypadku wturceni w jakiś szerszy ruch społeczny — jak pan Apolinary, albo szalibierze, jak „działalca“ Hyc i Kotalski, albo wielcy panowie, uważający że „trzeba coś robić“ — jak hr. Antoni Kostka — albo napuszone zera, jak Gwiazda — St. Starkowska albo opętani; szkodliwi, choć nieszczeni szaleńcy, jak ten, konieczne rudy i brzydki socjalista Demel, bojowiec polski, tepe, bezmyślnie narzędzie w złych i wrogich rękach. Gdy tylko Weysenhoff potraça o sprawy strejków, żądań, wrzescie pracy społecznej w jakimkolwiek kierunku, ujawnia natychmiast nictyko ignorancję absolutną dążeń i kierunków, która przypomina pierwsze wrażenia arystokracji francuskiej, wobec motłochu, podczas wielkiej rewolucji. Ta ignorancja i płytkość sądu stają się złowieszcze, gdy autor przestaje być w naszych oczach subiektywnym spostrzegaczem a staje się przedstawicielem odlamu społeczeństwa. Stawoć się nim zaś musi z chwilą, gdy porzuca zwykłą sobie zartobliwą gawędę a sięga po ton kierownika daleko i głęboko patrzącego — jak to uczynił w Hetmanach.

Nadając tej powieści swojej pamiętnikową formę, umożliwił sobie Weysenhoff wypowiedzenie szeregu subiektywnych przekonań, ostrzeżeń i nauk, w których zatracił już nieszkodliwy żart i uśmiech salonowego krytyka a widzi się kierownikiem, a nawet poważnym badaczem przeżywanych chwil.

I tu zaczyna się od razu ruina powieści, tak pod względem uroku jak i formy. Zamierzenie jej i wykazanie niebezpieczeństwa zle zrozumianego rewolucyjnego ruchu, jaskrawo zaznaczone, chybia zupełnie, na skutek nieznanomości istoty tego ruchu, aż nadto widocznego u autora. I znów — tak jak ostrze satyry w tworze Podfilipskiego godziło nie w typ ale w środowisko typu, tak jak tu groza bije nie od ukazanego nam niebezpieczeństwa, ale od faktu, że w dniach, które Polską wstrząsały, żyła cała klasa ludzi, najzupełniej obca ideałom i dążeniom ogółu, nie rozróżniająca kierunków i hasel, macająca w nieuisławianiu swojem wszystkie dążności a przedewszystkiem, niestety, pogodzona z losem, lub rozumiejąca jedynie najlepsze warunki niewoli.

Najniefortunniej wrzucił Weysenhoff bohatera swego w rewolucyjny wir. Pan Tadeusz Sforski, urzędnik kolejowy i literat szukający estetycznych wrażeń w Hadze, a dopełniający je zmysłowiem w Berlinie, nagle, niewiadomo dlaczego, staje się członkiem jakiejś niejasno określonej partii socjalistycznej. Cel przystąpienia jego do tej partii, jest absolutnie jasnym w dążeniach autora: Sforski musi z niej wystąpić, żarzony do tej pracy, odwołany do innej, ważniejszej. W powieści jednak motyw ten nie jest wystarczający, musi się tłumaczyć psychologią bohatera — tymczasem oto, jak nam tę psychologię rewolucyjną swoją tłumaczy pan Tadeusz Sforski.

„Świat nie jest stworzony wyłącznie dla mnie, zapewne, ale ja mam chyba prawo dążyć do takiego ustroju świata, aby w nim było miejsce dla mnie, nie zacieśniające oddechu w piersi, ani swobody rąk. Tak pragnących jak ja, są miliony, więc porządek społeczny musi ulec radykalnym zmianom.“

Tak naiwnego i mętnego określenia motywów i postulatów swoich, nie dal chyba dotychczas żaden rewolucjonista.

Działalność Sforskiego, podczas tego pamiętnego roku, jest równie niejasna i nieokreślona, jak jego teorie, a to dla tego, że Weysenhoff, — na równi z nami waszystkimi, którzyśmy całego przewrotu biernymi tylko świadkami byli — o działalności rewolucyjnej polskiej nie ma pojęcia w każdym razie. Nie miał go bezwarunkowo, pisząc Hetmanów. Widuje się więc Sforski z moskalami i żydami i mówi o nich i o sobie „my“. Co zaś oni organizują i czynią, o tem nie dowie się czytelnik niewtajemniczony w ideę partii a nie znający ówczesnych wypadków Warszawy z naocznej obserwacji. Tylko taki bierny i mimowolny uczestnik rewolucji w Warszawie nie może brać na siebie misji krytyka, ani nawet sprawodawcy. Może mówić tylko o subiektywnych wrażeniach. Wrażenia te sformułował Weysenhoff bardzo dobrze w „Dniach Politycznych“ gdy mówił o niewygodach p. Apolinariego podczas dni strejkowych, o ciemnościach w mieście, braku doróżek, zamkniętych restauracjach... a także o głębokiem, tkliwem, podniosłem wzruszeniu „działalca“ podczas pamiętnego pochodu. Tyle, mniewięcej, odczuwała i rozumiała wielka ilość mieszkańców Warszawy.

Sforski jednak działa... Przedewszystkiem spotyka się z ideałem swych lat przedrewolucyjnych. Piękną pani szuka dreszczu rewolucji w żydowskich dzielnicach Warszawy. Spiskuje... po największej części w Bristolu, a opis tych erotycznych dni, w których ta para przeżywa upojenia miłosne podniecone ogólnym nastrojem i niebezpieczeństwem — to najlepsze — wprost mistrzowskie strony powieści. Niestety, waga ich i mistrzostwo są tak przeciwne założeniu powieści, że wytwarza się najprzerazliwszy zgryzt satyryczny.

Wybuch wielkiego strajku, spędza działacza w sypialni Heli Latkiej. Natomiast pod jej opieką i z jej pomocą, zręcznie wygodnie, przewozi przez Katowice broń. Goli nawet wąsy, by zmienić sobie powierzchowność, czemu poświęca w swym pamiętniku aż dwie strony (pisze w nocy w Katowicach!) Nagradza go za podwójną waleczność okrzyk kochanki „mój bohaterze!“ Ale ten czyn jego rewolucyjny, pierwszy, który poznamy, jest zarazem ostatnim. Towarzysz Sforskiego — moskal Tomilow — członek polskiej partii socjalistycznej morduje jego kochankę. Urok rewolucji przyska... działalność jest zła i nienarodowa. Gdy zaś na skutek starań ojca zamordowanej, grozić poczyna Sforskiemu odpowiedzialność i niebezpieczeństwo, porzuca dawnych towarzyszy i ucieka do Krakowa, jak sam stwierdza „bez wyrzutów.“

Ach, czemuż Weysenhoff nie dał nam życiorysu Sforskiego w oświetleniu satyrycznem jak to uczynił z Podfilipskim. Czemuż nie wykazał, że ludzie nie wciągnięci wychowaniem i uczuciem w żadne ideały, że sybaryci i egoiści niczego nie dokonają, do niczego wielkiego nie dorosli? Konflikt matych i płaskich dusz z ogromem chwili: byłaby to powieść kapitalna, nie bez podkładu moralnego, licująca z rodzajem talentu autora, a dopuszczająca moralizatorski ton. Ale Weysenhoff działanie, odstępowo i nawrócenie kochanka pani Heli Latkiej bierze na serio i nam na serio brać każe — owszem, każe mu wyznawać, gdy dla osobistego bezpieczeństwa uciekł — że jest on już teraz tylko „legionista na służbie Błkitnej Królowej!“ Chęć wyrazić, że dziś tak jest w istocie. Ze Sforski zdołał unilować prawdziwą i wstąpić w pokorną służbę... odkupienia.

(D. N.)

Anna Leo.

Po zamknięciu wystawy „Buntu“.

Plon zewnętrzny:

Odrzucenie dzieł przez kierownictwo Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu.

Głosy prasy.

Anonimowa a bezowocna denuncjacja skierowana do policji z powodu domniemanej niemoralności dzieł wystawionych.

Poniżej notujemy charakterystyczne wyjątki „krytyk” prasy:

„Kurjer Poznański” (p. Czesław Ganowicz):

„Tak zwany ekspresjonizm wyrósł pod włoskiem niebem i przez Francję zawitał do nas — jest on jedną z ważniejszych pękówek na ciele monistycznego światopoglądu.

Zwiedzający po raz pierwszy wystawę, obejrawszy się dokoła, odnosi wrażenie, że z niego zadrwiono; chaos poplątanych linii, gzygzków, barwnych płaszczyzn, kleksów i masek; ale po bliższym przejrzeniu się zaczynają wyłaniać się z tego nieskoordynowanego kłębu zarysy, kształty i linje zdające się w jakimś ściślejszym z nimi stać związku i tu dla psychologa i psychiatry otwiera się niezmiernie ciekawe pole obserwacji. — Artysta chce wyrazić w nich myśl in statu nascendi: subiektywne czy obiektywne wrażenie podrażnia w nim sferę uczuciową i zanim uwaga zdola je pochwyć i ubrać w kształt wyobrażenia, artysta chwyta je za kark i ciska z rozmachem na płótno — i tak powstaje wystawa „Buntu“.

„Ponieważ w tym światopoglądzie z konieczności jedynym motorem życia jest „Płec”, widzimy w niektórych obrazach i rzeźbach potworne wprost wyolbrzymienie tego pierwiastka“.

„To taniec potępieńczy barw i masek rodzących się w mózgu pod działaniem chyba narkotyków: alkoholu, opium i nikotyny: w wizjach Chrystusa po wypędzeniu przekupniów z świątyni, św. Franciszka, Improwizacji i innych ujawnia się z przerażającą wprost jasnością poziom życiowy poszczególnych artystów, ich niezmiernie oddalenie od prawdziwej, wzniosłej ekstazy — bo w ekstazie one powstały — ahyba ich nie malowano na zimno —“

Cazeta Narodowa (panna M. Ruszczyńska):

„Do wszelkiego kierunku w nauce i sztuce należy odnosić się poważnie. Pragnę też tego szczerze od siebie samej i dlatego na wystawę „Buntu“ poszłam ze szczerym zamiarem przekonania się, po jakich szlakach chadza „samodzielną”, „twórczą”, „nieskrępowaną żadnymi względami”, nie naśladowiczą lecz własną i oryginalną myśl tych artystów, którzy grupują się około „Zdroju”, a propagują słowem, piórem i pędzlem tak zwany futuryzm“

„Jeżeli to, co wystawił „Bunt“ jest futuryzmem, ekspresjonizmem czy cześć jeszcze inaczej najnowszem, to w każdym razie przecież jest brzydkim. Tak brzydkim, że nie może mieć racji bytu, jako sztuka. Bo nawet przypuściwszy, że nowy prąd chce zerwać z tradycyjnym pojęciem dotąd żywym od czasów greckich, a zawierającem się w zdaniu, że sztuka winna być piękną, wydaje mi się całkiem bezcelowym rzucanie na papier czy płótno barwnych kwadratów, trójkątów czy linii, które albo nie dają żadnego wrażenia, albo rewoltują przeciwko temu, co mają wyobrażać, albo wyobrażają — passez moi l'expression — potworności. — Przecież nikt, śmiało twierdząc: nikt, nie zwróci chętnie spojrzenia do...”

„Sztuka futurystów — to właśnie takie niemowlęctwo. Jakby dziecko małe niedołężnie rysowało gatykiem, z zasad rysunku nie znając“.

„...Uważam pewną dziedzinę faktów z życia przyrodniczego, więcej: pewne zbrocenia patologiczne za niegodne sztuki,

sztukę, która się nimi zajmuje — za zwyrodniałą, a twórców scen takich za maniaków i chorych“.

„Oburza się w nas człowiek na widok obrzydliwości wyuzdania i z lękiem pyta: dokąd idziecie?“

„Nie wierzę ani szumnym hasłom, ani bluźnierczym apokryfom do świętego buntownika, ani szczerocią wylewów papierowo-płóciennych poznańskiego futuryzmu“.

Dziennik Kujawski (anonim):

„Kierunek ów wydał w malarstwie dzieła niepospolite. Nie tylko obrazy poprzedników, kubizm jak von Gogha, Gangina (pewnie: Ganguinal — red.) lub Mass'a (pewnie Matisse'a! — red.) stanowią rzetelne wzbogacenie dorobku artystycznego Francji i świata“.

„Aby pchnąć sztukę na nowe tory, trzeba przedewszystkiem talentu, i to talentu ogromnego, trzeba być Ganginem lub Matissem“.

„Jednaki Baudelaire i Rimbaud bezpośredni twórcy techniki ekspresjonistycznej w poezji mieli na tyle dobrego gustu, aby poezji swojej nie używać dla przerażenia burżuazji“.

Posener Neuste Nachrichten (Th.):

(„Bunt“. Eine Ausstellung polnischer Künstler).

„Spostrzegamy mnogo niezmiernych skrzywień, które objętego lajka zmuszają może do odwrotu z przerażeniem. Jednak wrażenie to profana nie wytrzymuje krytyki. Dzieła te bowiem. To nie ów zdecydowany obłęd warjatów, który swego czasu wstręt wzbudził nawet w przyjmującym wszystko potulnie berlińczyku, ale to istotnie forma sztuki spragniona wypowiedzenia się“.

„Na ogół zasługuje wystawa na baczną uwagę. Ciekawe jest w każdym razie obserwowanie chaosu powstającej formy i wnikanie w obrazy, które często w raczej stoją sprzeczności do naszych uczuć artystycznych, ale bądź co bądź więcej wykazują wartości, niż owe masowe fabrykaty, które mniej mają prawa do miana sztuki“.

Pro arte et Studio, pismo młodzieży akademickiej

(wychodzące w Warszawie pod redakcją Edwarda Boye) w zeszycie dziesiątym wydrukowało dytyramb Juliana Tuwima p. t. „Wiosna.“ Młody poeta wylał się tu zuchwale z prawideł uznanych i zmierzyl wiosnę własnym okiem. Spojrzał w istotę wiosny wzrokiem niezależnej swej duszy i odsłonił inne — niż widziano dotąd — przyzajane pierwiastki.

Czytelnik przyzywczajony do fiołkowych i różnanych woni z pojęciem wiosny związanych, rozdał szeroko nozdrza już na widok samego tytułu i miasto mdłego zapachu wiosny w pojęciu utartym wchłonał w spragnioną pierś smrodliwego powietrza wielkomięjskich ścieków i kaluży.

Wiosna!

Zawód, bolesny zawód!

Czytelnik uczuł żal głęboki do poety za one spługawienie wnętrza piersi nekanej nazbyt długo słotą i zawieją, żal, który przemienił się błyskawicznie w żądzę zemsty.

Posypały się gromy na głowę niesforemno poety za one wywiewy wiosennych roztopów, których nie rad szuka mieszkanie smutnej ziemi, za ów zawód uczyniony, za wstręt wiosny. Zrównano poetę z zamiataczem ulic, z stróżem miejskich zaułków, który nie dość sumiennie wymiata brudy ale przeciwnie — na światło je wydobywa. Zapomniano o pocie, a rzucono się na zamiatacza.

Cześć prasy warszawskiej skierowała ostre słowa potępienia pod adresem poety i redakcji pisma. Na łamach „Pro Arte et Studio“ wypowiedziała się nie mniej młodzież sama.

Różnica głosów w prasie a głosów młodzieży polegała na tem, że podczas gdy pierwsza stanęła zwartym szeregiem w obronie uświęconych zasad, nakazujących tak, a nie inaczej odczuwać wiosnę i tak a nie inaczej „układać wiersze” wiosenne, to młodzież rzecz pojęła znacznie szerzej.

Umiała przede wszystkim odróżnić prawa twórcy od prawideł, którym podlega ogół. Wyraźne to rozdzielenie należy też zapisać na korzyść młodzieży, które tem swoim stanowiskiem czyni wyłom zasadniczy w obowiązujących dotąd pojęciach i posuwa społeczeństwo i jego wierzenia o krok naprzód.¹⁾

Stary jak świat problem: „Poeta a świat” odżył tu znowu. Światu nie chodzi bynajmniej w tym wypadku o twórcze wartości dzieła sztuki, ale jedynie o nienaruszalność paragrafów społecznych, które zresztą okazały się tak wadliwe, ułomne i niedostateczne, że doprowadziły do światowego przesilenia obecnego.

Spór o poetycki utwór Tuwima powstał więc nie z powodu twórczych jego wartości — jakby spodziewać się należało, ale z powodu dotknięcia przez poetę „nienaruszalnych” dogmatów społecznych. Jeżeli na łamach „Pro Arte et studio” grono młodzieży w swoim liście otwartym do autora „Wiosny” zdołało wyznaczyć stanowiska owego pobić głosy prasy, krytykujące wzmiankowany utwór, to z uznaniem podnieść to należy, nie przesadzając tem bynajmniej wartości samej krytyki dzieła.

Krytyka sama bowiem nasuwa pewne wątpliwości. Przedewszystkiem autorzy listu otwartego wychodzą z błędnego założenia i na niem opierają swój sąd o utworze Tuwima. „Od dzieła sztuki wymaga się bezwzględnie — piękna”.

Czy istotnie? Skąd ten aksjomat? skąd ta reguła? „Istnieje wprawdzie rodzaj negatywnego piękna, „piękna-brzydoty” (n. p. rasowego mopsa...)“

Nie jest że to tylko wybiegiem?

Rasowy mops bez względu na swoją urodę z pewnością nie wchodzi w zakres rozważań o pięknie w sztuce, i to wyłącznie z tego powodu, że uroda — pojęta nawet szeroko, do rozmiarów piękna z sztuką nie ma nic wspólnego.

Piękno ma się do sztuki tak jak pięść do nosa. Wykazała to sztuka sama. Bruegel senj. Goya, Hokusai, Jacques Callot, Rops. bezimienne chimery w architekturze gotyku, dalej: Villon Brantôme, Strindberg, Arcibaszew, Żeromski. — Założenie więc, na którym opiera się wspomniana krytyka, jest w istocie swego błędne i jako takie prowadzi na dalsze manowce, w rodzaju chęci narzucenia twórcy „pewnych granic realizmu, których artyście przekraczać nie wolno pod grozą relegacji z Parnasu.”

Otóż poeta sam jeden posiada prawo, zakreszenia sobie granic, a wartość jego twórcza zależy od wypełnienia granic tych samym sobą, oraz ich rozmiaru granic. Pojęcie „piękna”, ujęte w pewien impresjonistyczny szablon przez starożytnych greków, nie może być wskaźnikiem dla człowieka dzisiejszego, po tylu wiekach przedstawiania się pojęć o sztuce, które wielokrotnie już owemu pojęciu piękna kłosu zadaly.

Dlatego to słuszność zarzutów czynionych Tuwimowi na kruchych spoczywa podstawach i wysoce jest wątpliwa. Końcowe słowa krytyki: „zgrzeszyłeś bowiem — przeciw Pięknu” nie mogą więc dotknąć autora „Wiosny”.

Z pełnem uznaniem zaś odnosimy się do stanowiska redakcji „Pro Arte et Studio” a przede wszystkim piszemy się na wywody jej w „odpowiedzi na list otwarty.”

Głębokie zrozumienie i odczucie pierwiastka twórczego, ogarnięcie twórczych wyników od czasów człowieka pierwotnego aż po dzień dzisiejszy i przyznanie twórcy wyjątkowego, bo po-

nad społecznego stanowiska — oto znamiona, stawiające redakcję na tej wyżynie, na której wolno już współżyć z twórcami i przeżywać dzieła sztuki.

To cośmy powiedzieli wyżej nie jest bynajmniej oceną „Wiosny.” I choć mamy różne zastrzeżenia, to na tem miejscu zaznaczyć tylko chcemy, iż utworowi temu, mimo, iż nie równa się z innymi drukowanymi w „Pro Arte et Studio” poematami Tuwima, poważnych zalet twórczych odmówić nie można, ani zaprzeczyć, iż poeta wprowadził własny, odrębny pierwiastek do utworu tego, z których to już powodów mimo przekroczenia „granic realizmu”, zakreślonych cyrklem powszechnym, relegacja z Parnasu grozić nie może.

Kiedy wśród pogoni za aktualnością dnia, mającej zabić piekielną życia nudę, albo udrękę codzienną, silna twórczość uderzy w zdrtwiałą pierś społeczeństwa, wtedy wylaniają się stróżu smu jego i kopie kruszą w obronie ogółu, któremu nazbyt oczywista prawda zaczęła oczy szeroko otwierać.

Wtedy grozi, iż zdrtwienie ogółu zniknąć gotowe, że społeczeństwo może zbyt prędko przewidzieć i wyłamać się z pod pieczy swoich stróżów a pójść za twórcy głosem i wskrzeszać w sobie drzemającą gdzieś na dnie duszy, przeczajoną iskrę bożą, którą wieszczę narodu weń zaszczepili.

Ogół niezdołen wyczuł ducha twórczego z pośród żyjących, czekać musi, aż poprzez trumny wieko, poprzez nagrobne bluszcze i powoje przedrzą się duch poety i po latach wielu zabyłsinie na przekór stróżom panującego porządku rzeczy. A doczekawszy się nowego, ożywczego tchnienia, głosi wielkość zmałego, i przylgłszy wtedy dopiero pobrzęki ostrzegawcze poświsty wart nocnych, które straż pełnią w narodzie.

I nikomu na myśl nie przychodzi, że wśród żyjących kwitnie myśl, która piętno swe w narodzie wyciska na całe wieki, że cały szereg duchów twórczych ustawicznie wlewa w naród ożywczę sok, że „jad” twórczy toczy organizm społeczny na zgubę teraźniejszości a przyszłości na chwałę. Bo jakże w młodzieńcu, który zaledwie opuścił szkoły, tlić może iskra odwiecznego ducha twórczego, bo jakże może do przodu nad duszami rościć prawa człowiek mniej życiowo doświadczony odemnie, nie uzyskawszy może nawet tych patentów wiedzy, które ja dawno posiadam, nie ciesząc się tem uznaniem w społeczeństwie, którem ja się cieszę za pracą dookoła dobra publicznego i własnego, za cnotę moją i posłuszeństwem wobec ustanowionych prawideł życia. Jakże odważyć się może na samodzielną myśl człowiek, który nawet czasu jeszcze nie miał na pokazanie swej wartości? A jednak twierdzi on, iż tworzy, iż po nim „zostanie ta siła fatalna...”

I rodzą się jednostki twórcze i umierają bez śladu ostawiając wszędzie po sobie „tę siłę fatalną” która staje się siłą narodu.

Nie mamy wieszczą, ba! nie mamy wielkiego twórczego talentu, któregoby społeczeństwo za życia nie było sponiewierało, o ile twórczości swej nie sprzedała za miskę społecznych paragrafów.

Duchowi protoplaści tych krzykliwych wielbicieli Mickiewicza, którzy zwykli wielkiego romantyka przeciwstawiać twórcom współczesnym, postarali się i oto, aby genjusz polski, ujawniony w Mickiewiczu zaznał dość udręki, dość nędzy, dość bólu, dość niezrozumienia. Ciż sami zjadale walczyli przeciw objawieniom Słowackiego, ciż sami umieli skazać na banicję i wygnanie Nowida, ciż sami napastowali Wyspiańskiego, zwal-

¹⁾ Głos Władysława Zawistowskiego zasługuje przede wszystkim na uwagę.

czuć Kasprowicza, Żeromskiego, Przybyszewskiego i innych, wreszcie ciż sami miotają dziś gromy na każdą twórczość najmłodszą, która patrzy przed się, miasto przetrwać gotowe owoce twórczości lat minionych, które w spokoju przeżuwa karmne społeczeństwo.

Łańcuch męczeństwa dla swych twórców kuje społeczeństwo nieprzerwanie, wypiera się wieszcy swoich i wytyża wszystkie swe siły aby niewygodną sobie twórczość wyzuć prawa przynależenia do pnia macierzystego.

Sumienie wszakże raz wraz się oderwie i oto stróż społeczni pospieszają z uspokojeniem, winę całą za męczeństwo starając się rzucić z siebie a złożyć na bary umęczonych.

Wypchnięto ze społeczeństwa szereg twórców i zdolano się pozbyć na pewien czas niespokojnych indywidualności, które jednakże rosły, potęgniały a powracały ustawicznie — niby igła magnetyczna ku wyspie utopionej gdzieś w oceanie.

Aż wreszcie, gdy imię twórcy głosem się stało u swoich i obcych, gdy zwłaszcza śmierć doczesna utrwaliła nieśmiertelność twórcy — wtedy ciż sami stróż społeczni wieszczą glorię poety... umarł, a więc stał się mniej niebezpiecznym — a jeśli żyje, a imię jego wielkie... wtedy niepokój... wtedy sumienie odrywa się... wtedy wołanie: nie my winni, iż wypchnięto poete, ale on sam nas opuścił i tworzył w obcym języku, bo jego obowiązkiem było mrzeć z głodu wśród nas, pozwolić się biczować, pozwolić na plugawienie tworu swego; on nie miał prawa uchylić się nazwemu wyrokowi śmierci!

Taka to nuta brzmi w głosie społecznych stróżów, którym dogryza sumienie, gdy jeden męczennik bluzgnie w oczy społeczeństwu męczeństwem drugiego.

I oto codopiero usłyszeliśmy głos z budki strażniczej, która nosi godło „Myśl niepodległa”, a głos ten idzie na rękę pomniejszemu stróżom okolicznym, którzy skwapliwie go powtarzają, gdy chodzi o dobicie umęczonej ofiary.

„Wyspiańskiego cały Kraków pochował z największymi honorami, a Przybyszewski jeszcze trzęsie się z oburzenia, że w r. 1890 ktoś nazwał go nieszkodliwym grafomanem”.

Jak chichot upiorny nad ciałem skatowanego na śmierć męczennika brzmią słowa „Myśli Niepodległej”.

Jeżeli głos ten jest istotnie wyrazem uczuć narodu, to ciśnie się pod pióro krwawe pytanie: Czy pogrzebem z honorami przegna naród skwitować dług względem umęczonego wieszczą?

A więc deptanie brutalne nogami najszczytniejszych wzruszeń i wierzeń poety, oplwanie świętej jego miłości wyszydzenie przez życie całe nadludzkich cierpień, pozostawienie wieszczą w ostatecznej nędzy — to wszystko, co składa się na ogromną winę społeczeństwa (świadoma, czy nieświadoma) — to wszystko ma być odpuszczone „pogrzebem z honorami”?

Aż cemu odkupiono winę względem Słowackiego, którego wieszczę technicznie ośmielił się wydrwić zmarły niadawno hr. Tarnowski, czem winę względem Norwida? Tu już nie stało nawet na pogrzeb z honorami, a kiedy młode pokolenie jęło dopominać się czci należnej Słowackiemu, czci której wyraz odbić miał się choć w przewiezieniu zwłok wieszczą z obcej ziemi do ziemi ojczystej, kiedy naród chciał hołd złożyć wielkim cieniem Juliusza i prochy jego złożyć na Wawelu — wtedy

dostojnik kościoła i narodu kluczem zardzewiałym zamknął podwoje polskiego relikwiarza dla świętych szczątków największego syna Polski.

I cóż wy na to wszystko — wy którzy dalej biczujecie waszych proroków? — Wy — w najlepszym razie gotowi do pogrzebania z honorami ciała umęczonego proroka”.

„Na Żeromskim już dawno dom Gebethnera i Wolffa zrobił dobry interes, a Przybyszewski wciąż jeszcze mówi o nim jak o sierocie”.

Istotnie: na wielu, bardzo wielu poetach utuczyli się handlarze a poeci marli i mrą z głodu.

I tu już zastanowić się trzeba, czytając poszczególne zdania „Myśli Niepodległej”: czy to żart. czy też poważny argument? I poeta tak pisze? Hi, hi!

Poeta, który po manowcach myśli twórczej błędził, aż spoczął bezpiecznie na miękkim łonie społeczeństwa! Hi, hi, poeta!

Dziwna obawa wciąż pokutuje wśród narodu, żeby tylko czasem byt materialny twórcy nie był znośny, żeby tylko zrozumienie tworu jego nie było zbyt przyspieszone!

Nie zasługują na uwagę jednostki, które wybiegają myślą i uczuciem w przyszłość, których nie łamie codzienna rzeczywistość! Precz z tymi, którzy wierzą mimo chwilowej klęski, precz z tymi, którzy dniem dzisiejszym nie pozwolą z twórcę drogi przyszłości zepchnąć się w odmęt wypadków bieżących. — Precz z nimi, wołają stróż społeczni, którzy bliskość jeno ogarniają a w twórczej myśli chorobliwą halucynację widzą, chimere społeczeństwu szkodliwą. Wszelako równocześnie ukazuje się w krakowskich „Maskach” przepiękne, porywające rozmyślanie Włodzimierza Żuławskiego: „Witraże wawelskie Wyspiańskiego”. Gdyby „Myśl Niepodległa” wczytała się w słowa Żuławskiego, uprzytomniające tak przerażająco plastycznie męczeńskie życie Wyspiańskiego i stosunek społeczeństwa do niego, przypominające znane, ale powszechnie już zapomniane koleje arcytworów genialnego poety-malarza, koleje, które doprowadziły do obrócenia wniwecz najcudowniejszych kreacji — możeby wtedy nie była zdolna do ugłaskania skrawionej pamięci Wyspiańskiego wzgardliwym frazezem o „pogrzebie z honorami”.

Pytamy na koniec: do czego zmierzacie, wy stróż społeczni waszem szczeniem przeciw twórcom? Czy o to wam chodzi, aby nadal poeci, wypierani z grona społeczeństwa własnego, ponieważ się musieli po śmietniskach obcych, aby miejsca starczyło dla literackiej tandety, którą tolerujecie w całej naszej prasie, a częstokroć śmieszny hołd jej składacie.

Poniechajcie kopania głębszej jeszcze przepaści między twórcą a społeczeństwem, między poetą a światem. Wsluchanie się zaś w tętno twórcze, zgłębienie twórczych zagadnień, (obojętne, czy przyobleczone one w płaszcz romantyzmu, czy „Młodej Polski” czy ekspresjonizmu) i otoczenie ich twórczą krytyką, nawet najsurowszą — nigdy nie oddali społeczeństwa od sztuki, ale je przybliży. Nie o poniechanie więc krytyki chodzi, ale o poniechanie wiecznego ujadania przeciw żyjącym twórcom, skoro zmarłych wielkości obniżyć już nie podobno.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**



nabyć można za pośrednictwem naszym



REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

MARYAN SZYJKOWSKI

ZARYS ROZWOJU PIŚMIENICTWA POLSKIEGO

CENA MK. 7.60

CENA MK. 7.60

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
LUB WPROST

Z SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „OSTOJA”
POZNAŃ, PLAC WILHELMOWSKI 17 — TELEFON 5100

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO:

GEBETHNER I WOLFF W WARSZAWIE

W GALICJI: GEBETHNER I SKA. — KRAKÓW

W SZWAJCARII:

LAUSANNE LIBRAIRIE, POLONIA MAISON DU KURSAAL



DRUKARNIA „PRACY”

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ
PIEKARY 21 **W POZNANIU** PIEKARY 21

POLECA SIĘ DO WYKONYWANIA
WSZELKICH PRAC DRUKARSKICH
GUSTOWNIE, SZYBKO I TANIO

TELEFON 3097

TELEFON 3097

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsely	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Koźnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

POLONIA Księgarnia Nakładowa i Komisowa

Lausanne. Maison Kursaal, Szwajcaria

przyjmuje wydawnictwa we wszystkich językach na rachunek komisowy oraz dostarcza wszelkich wydawnictw i czasopism zagranicznych w językach polskim i obcych.

Zamówienia wykonywa się starannie i szybko.

MASKI Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — Adres Redakcji i administracji: KRAKÓW, Wolska 1 19
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 13 kor. — półrocznie 24 kor. — rocznie 43 kor.

Z dniem 20. marca druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka” i cykl „Listów ze wsi” Wł. Orkana.

Czasopismo uzyskało prawo reprodukcji wspaniałego zbioru obrazów St. Wyspiańskiego, oraz kolekcji karykatur K. Sichulskiego. — Współpracują najwybitniejsi pisarze i artyści polscy.

Na żądanie wysyła się numery od 1-go stycznia b. r.

OGŁOSZENIA według umowy.

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne, także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktorji 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

